

Wanda Dzikowska
74-240 Lipiany
Sienkiewicz 19/4

Wr. 1927. P. m. sk. Otrzyma 4.12.89 (2)
Kopia fatalna, wsiane błędami
dane do tej rodziny. Napis 4.7.90 z prośbą
Kokardost ośm. i poprawienie tekstu

a/p

19.XI 90 nie ma
odpowiedzi

JH

DZIEJE RODZINY DZIKOWSKICH

-
1. Rodowód
 2. Dzieciństwo
 3. Druga Wojna Światowa
 4. Syberyjskie zesłanie
 5. Droga do Ojczyzny
 6. Osiedlenie

Wspomnienia te przywoływałam z pamięci
i notatek w latach 1984-86 Zawierają one
pełnię dziecięcego szczęścia i ciernio-
we lata wojny.

Wanda Dzikowska

II-ga WOJNA ŚWIATOWA

Krocząca krew w tyłach komunikaty radiowe. "UWAGA, Uwaga nadchodzi" Oznajmiało alarm "UWAGA, UWAGA, Przechodzi" Odwołanie alarmu Pospiesznie Ojciec z Terleckim kończył budowę schronu. Na oznajmienie alarmu nie wolno było zostać nam w domu nawet minuty. Siedzenie w schronie ciemnym, wilgotnym nie uspakajało. Ojciec przejawiał tak wielką troskę o nas i Mamę, że było to dla mnie zadziwiające. Nigdy nie okazywał nam tak wyraźnie swojej miłości do nas jak Mama. a wtedy właśnie, podczas działań wojennych okazywał nam tak bezgraniczną miłość. Tulił nas całował, pouczał jak mamy się zachować w tym tragicznym czasie.

Na oznajmienie alarmu reagowałam szokiem, oczeczki kołatały jedna o drugą nawet przez kilka godzin, cała drżałam. Tak panicznie bałam się, by komuś z bliskich nie stało się coś złego. Wreszcie Ojciec postanowił, pozostawiamy wszystko, wzięliśmy to co niezbędne, wyjeżdżamy ^{z Pńska} na wieś. Mama zaczęła pakować pościel, suchary, tłuszcz i inne artykuły spożywcze, trochę naczyń. Na polecenie Ojca Terlecki wynajął konie. Tatusi biegł między domem, a biurem.

Nie wyjechaliśmy jednak tego dnia. Uciekinierzy z centralnej części Polski, zatłoczyli miasto. W domu naszym co parę godzin zmieniali się uciekinierzy. Byli to przeważnie pracownicy Ministerstwa Skarbu. Byli się, Mama podawała coś gorącego do jedzenia i jechali dalej. Za nami szły im przeważnie małe walizeczka.

Bez przerwy słuchaliśmy komunikatów radiowych. Dnia trzeciego września 1939r. Naczelnym Wódz wydał ministrowi spraw wojskowych Tadeuszowi Kasprzyckiemu rozkaz zorganizowania obrony Warszawy. Minister z kolei powierzył obronę Warszawy generałowi Malarianowi Gzuzie. Ósмого wrze-

dnia 1939r na murach Warszawy pojawił się apel generała Czuma do ludności miasta. "Obywatele stolicy! Działania bojowego przenieść się pod mury stolicy. Władze cywilne zmuszone były do ewakuacji. Obywatele Warszawy trzeba obronić, Pomagajcie wojsku, mądrą postawą, oraz utrzymaniem ładu i porządku, by nie odrywać wojska od prac bojowych. Komisarzem cywilnym staje się dla miasta Warszawy, jej obrony Stefan Starzyński. Jego nawiązania do ludności Warszawy, były pełne wiary, W tym czasie Mareszałek Smigły-Rydz rozpoczął organizowanie Przedmościa Rumuńskiego. U nas w mieście sytuacja była straszna, Naloty trwały dłużej i były coraz częstsze. Mamusia nie chciała opuścić miasta. Co dzień nie spała, w nocy pakowała ją ponownie. Wreszcie musiał nastąpić wyjazd. Na podwoje złożono najakrewniejszy, najpotrzebniejszy bagaż. nasz i państwa Niedzwieckich. Ojciec służbowego zastępcy. Ojciec pojechali naprzód. Matki nasze i my dzieci, szliśmy pieszo zatłoczoną po przydrożne rowy szosą. Droga zatłoczona była, wojskiem, szły całe kolumny, oraz uciekinierami. Poruszać było się bardzo trudne. Józio prowadził Tatusia rower na którym ulekowana była ciepłota odzienia i trzeba z żywnością. W pewnej chwili do Józia podszedł oficer, prosząc Mamę o wypożyczenie mu roweru, ponieważ musi dogonić 2-3 kilometry swoją kompanię. Mama zgodziła się. Brat oddał rower, i zaczął biec za oddalającym się. Straciliśmy go z oczu. Mama była zrozpaczona. Szliśmy coraz wolniej. Już nie tylko uciekinierzy szli przydrożnymi rowami ale i polami. Na drodze pojawili się dodatkowi uciekinierzy, więźniowie w ubraniach więziennych wypuszczeni z więzienia w Pińsku. To przeraziło Mamę zupełnie. Brata nie widzieliśmy już od ponad godziny. Dodatkowy bagaż zdjęty z roweru męczył nas potwornie. Zatrzeskani o brata płakaliśmy. Doszliśmy wreszcie do brata, zmęczonego siedzącego przy rowie na ścieżce nisku bez roweru.

Do wsi Wielatycze oddalonych od Pińska o 7 km. dotarliśmy późnym wieczorem. Krewie Terleckich ludzie bardzo biedni. Jedna izba granicząca z chlewem. Tu poraz pierwszy zobaczyłem odmienną wieś od

wci poszerzających jakie znalazłem z wakacji. na Pomerzu. w izbie klepisko/
/gliniana podłoga/Jedno kółko na słotenie pościeli całej rodziny, które
nam odstąpiono. Jedną chudą krowa. Jedli tu wszyscy z jednej miski, trzy
razy dziennie jakiś barszcz z razowym chlebem. Tu zobaczyłem jak zbite
młócone cepami i kieratem.

Za wsią był las, w nim rozłożyli się żołnierze. Pamiętam
że byli to w większości bardzo młodzi ludzie. Stali tam dwa dni. Nocą ode-
szli.

Mama upierała się żeby wrócić do domu. Ojciec zwlekał, wręczy-
cie uległ, zapadła decyzja o powrocie. Znowu zakładano dobytek na podwo-
dy. Odjechaliśmy nie daleko. Chłopi dowiedzieli się, że wracają Czerwona
Armia. Zrzućli nasz dobytek przed mostem na Prypeci i odjechali. Stali-
śmy bezradni, patrząc na rozbieganych żołnierzy i ludność cywilną. Sły-
chać było ostre nawoływania "Pospiesz się do wysadzania mostu." Docho-
dziły do nas dalekie odgłosy walki. Rozbieganą ludność mówiła, że do
Pińska wchodzi bolszewicy. W oddali było widać płomienie na rzece. Rzekła
jak by płonęła. Głośne detonacje zagłuszały chwilami rozmowę. Siedzie-
liśmy przerażeni przytuleni do mamy, drżący z lęku i płaczu. Tataś posz-
edł na most, trwało to długo nim zawołał pana Niedzwieckiego po rozmowie
z grupą wojskowych. Zobaczyliśmy, że Ojciec schodzi z jednym z oficerów
z mostu nad brzeg Prypeci gdzie stały kocznie. Niewysłowiona radość nas
ogarnęła, Tataś wchodzi do koczni. W dalszym ciągu trwały wokół nawoływani-
e opuszczenie mostu. Do nas podpłynęli ojcowie. Wszyscy kładowaliśmy
dobytą, byle jak najszybciej. Tataś mówił nam w tym czasie, że to Komand-
or Kamiński był tym dobrodziejem, który dał nam kocznie.

Ojciec postanowił, wszyscy idą pieszo, Ojcowie jadą kocznią.
Ruszyliśmy wzdłuż brzegu rzeki. Na moście żołnierze krzykali do nas
"Bierzcie saperki" Latało tego sporo ale nikt nie reagował. Szliśmy w
milczeniu stale obserwując kocznie. Po pewnym czasie zauważyliśmy, że pan
Niedzwiecki jakimś naczyniem wylewa z koczni wodę. Woda rzeki była czarna
i tłusta. Na wodzie płynęły lub dymiły resztki ropy. Nigdy dotąd nie

widziałam tak stłojącej twarzy Matki. Preska co chwila, nie oddalajcie się, trzymajcie się razem. Zbliżał się już wieczór, i narastał lęk. Dym nam się wrzerał w oczy i co jakiś czas słyszeliśmy potężny huk.

W pewnej chwili zobaczyliśmy, że łódź z naszymi ojcami kieruje się w stronę brzegu. Nim do niego dobili, potężny huk. To most którym przechodziliśmy, wyleciał w powietrze. Podbiegliśmy do łodzi. Łódź salana do połowy wodą jak i nasz dobytek. Przed nami rzeka po wybuchu wyglądała jak fontanna., a zarazem zaczęła płonąć. To wysadzano okręty marynarki wojennej. Marynarze zajmowali całe przybrzeże. Rozpacz była też w ich twarzach. Rodzice naradzali się co dalej. Marynarze znając tereny nadbrzeżne, poradzili udać się do zamieszkałego nad rzeką rybaka. Zapadła noc. Mama poszła wzdłuż brzegu. Pani Niedzwiecka siedziała z dziećmi, ojcowie wyładowywali na brzeg bagaż. Mama długo nie wracała. Ojciec rozpacział, że poszła sama. Zapadła noc, a jasno było tak, jak w lipcowy jany słoneczny dzień tego lata. To łuny z wysadzonych, palących się okrętów dawały takie oświetlenie. Wreszcie zobaczyliśmy płynącą po rzece dużą łódź, płynęła w naszym kierunku, w niej Najukochańsza Matka z rybakiem. Zaczął się ponowny załadunek. Tym razem wszyscy upchaliśmy się do łodzi. Płynęliśmy wśród płonącego smaru i ropy. Ojcowie rozgarniali ropę na wodzie by oddalić płomienie, żeby nie zapaliła się łódź. Płynęliśmy w tym położeniu bardzo wolno. Wreszcie w dali zamejaczyły kontury wież kościelnych. Zbliżaliśmy się do Piny.

Przybiliśmy do brzegu Piny nad ranem, w centrum miasta. Ulice wyludnione. Słychać pojedyncze strzały. Rybakowi spieszyło się. Wyładowano bagaż na brzeg. Zaraz zjawił się apteczyna z opaską OPL. Pomagał w wyładunku mówiąc w mieście są już bolszewicy. 17 września przekroczyli granicę a 18 września 1939 zajęli Pina. W dniu w którym wracaliśmy z Wielatycz. Swięto. Po wyładowaniu rybak umocował jeszcze łódź i poszedł zobaczyć co dzieje się w mieście.

Pan z OPS poszedł do budynków nad brzegiem rzeki, szukać dla nas schronienia. Zabrano nas do mieszkania zamieszkałego przez rodzinę żydowską

Gospodarze nie spali. Opowiadali o wkroczeniu wojak sowieckich. Dookaliśmy rana. Ojciec poszedł na zwiady. Przyjechał po nas z woźnią Furmankom. Jadąc miastem prawie nie widziałe się cywila, Stali sowieccy żołnierze. Przy większych ich zgrupowaniach unosił się zapach dziegciu. Ubrani byli inaczej niż nasi pięknie ubrani żołnierze. Długie płaszcze karabiny na linkach nie na pasach ogromny kontrast.

Dom nie był obrabowany, W domu nie długo czekaliśmy na gości. Dzwonek. Zjawili się cywile z czerwoną opaską na ramieniu i żołnierzem Armii Czerwonej. Władze Polskie nie odebrały Ojcu z chwilą wybuchu wojny broni. Więć ci przysłali ją odebrać. Odebrał Ojcu to co cenik najbardziej. Broń przed wyjazdem do Wielkiej była ukryta. Dawniej ozdobił Ojca gabinet wisząc na wspaniałych skórach, trofeach myśliwskich. Trzy strzelby z dodatkowymi lufami, lornetkami itp. oraz broń krótka. Jedynie lunetę udało się Ojcu ukryć, którą zaraz wrzucił do studni. W domu zapanało wielkie pżysgnębienie.

Radio słuchane w ukryciu nadal nadawało nawoływania Bohater skiego Prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego. Zagrzewał do walki, zwlekał z kapitulacją. W kraju kończyła się walka abrojna. Wódz Naczelny podaje jak zachować się wobec Armii Czerwonej. Depeszuje Sowietom wkroczyli. Z sowietami nie walczyć, tylko w razie natarcia z ich strony lub próby rozbicia naszych oddziałów. Zarządzam ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry. Zadanie dla Warszawy i Modlina, które mają się bronić przed Niemcami bez zmian. Świat nasz walił się w gruz. Dochodziły wiadomości o męczeństwach naszych dywizji i pułków. Przekroczenie granicy przez Naczelnego Wodza do Rumunii było cięsem. A Prezydent Warszawy jeszcze nawoływał obywateli stolicy do wytrwania i dalszej walki. Bezprzykładnym bohaterstwem walczyło wojsko o ojczyznę i honor Polski. I w końcu umilkło radio - Polskie Radio Warszawa.

Nikt z nas przez pewien czas nie wychodził z domu. Jedliśmy suchary i inne zapasy. Obserwowaliśmy przez okna jak sowieccy żołdacy prowadzili naszą ulicę na dworzec tych do ostatka walczących, pokonanych

bochaterów wojskowych i cywilów. Dalej po kilka razy dziennie było słychać pojedyncze i grupowe wystrzały. Nie wiedzieliśmy co dzieje się w mieście.

Pewnego dnia Ojciec zdecydował się pójść do biura. Przecież nikomu nic złego nie zrobiliśmy niema powodu się bać, tak mówił na Mamy protesty. W mieście życie normowało się. Ludzie stali w bardzo długich kolejkach przez całą noc by dostać bochenek chleba, innych artykułów spożywczych nie było. Ojciec powrócił do pracy. Banki wymieniały minimalne sumy złotych na ruble. Były książeczki PKO, ale nikt tego niech honorował.

W krótkim czasie po wejściu wojsk radzieckich. Ustanowiona na tym terenie władza radziecka. Półsk został przyłączony do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Nasz straszny los zapisał dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z dnia 29 listopada 1939r na podstawie którego wszystkim mieszkańcom terenów przyłączonych do Białoruskiej i Ukraińskiej SRR nadano obywatelstwo radzieckie. Rozpoczęły się w tym czasie masowe aresztowania, rewizje. Oczekiwanie kiedy zastukają do nas? Nastąpiła bezsilna rozpacz.

Już w październiku zaczęliśmy chodzić do szkoły. Przed południem uczono dzieci w języku białoruskim. Od 16-j chodziłam do gimnazjum na naukę w języku polskim. Do domu wracałam późno po godzinie 20-tej. Nocą stawałam w kolejce po chleb, razem z młodzieżą ze szkoły. Prócz chleba dalej żadne produkty nie były dostępne. Dzieliliśmy się już oszczędniej stare zapasy. Żał mi było bardzo Mamy nie potrafiła się przystosować do nowych warunków. Chroniłam ją przed kolejkami. Nie miałam wtedy jeszcze trzynastu lat, ale zrodziła się u mnie ogromna troska o Najdroższych mi Rodziców i Ukochanych Braci. Lęk, że mogą nas rozdzielić był przerażający. Zbyt często w dzień widzieliśmy prowadzonych aresztowanych, a nocami działy się masowe aresztowania.

Tak w październiku przyszło do nas trzech wojskowych z nakazem zwolnienia jednego pokoju. Zaniesł u nas "krasnoarmiejec" koman-

41r Robcow. Człowiek młody, spokojny, dobry. Każdego wieczora po 27
siusiabie pił u nas z Rodzicami herbatę.

W gimanajum co dziennie mówiło się, że aresztowano kogoś z ojców. Znajomi Rodziców przychodzili do nas bardzo rzadko. Rodzice też nie wychodzili z domu poza koniecznością. Terleccy już nie pracowali u nas. Staraliśmy się więc jak najwięcej pomóc Manie. Zbliżała się zima. Był na szczęście zapas opału. Ojciec teraz sam rąbał drzewo. W nocnych kolejkach było bardzo zimno. Rosjanie chodzili w walenkach. Spadł śnieg i zakuła nas bardzo mroźna zima. Zaczęło brakować nam tłuszczu. Młodzież jeździła na wieś po słoninę i nabiał. Zdecydowałam się i ja pojechać. Starsza młodzież handlowała słoniną na rynku. Pojechałam do Brehiczyna. Znajomi sprzedali i dali mi słoninę i jaja. Mama z niepokojem czekała na mnie na dworcu. Poraz pierwszy oddaliłam się sama. Radość była duża. Od tej pory co jakiś czas jeździłam opuszczając lekcje po słoninę, mięso i nabiał. Robcow nie pozwolił Manie mnie spotykać. Był w pobliżu dworca odbierał i niósł ciężkie bagaże.

W podróży dowiedziałam się, że przez Pińsk przejeżdżają transporty jeńców i więźniów, że ludność donosi im pożywienie. Opowiedziałam to Rodzicom. Słyszeli to Robcow. Mama poprosiła czy mógłby nam kupić tytoń "kurosaki". Był to siekany grubo tytoń zawijany do palenia w gazety. Zapytał dla kogo, wiedział, że Tataś nie pali. Rodzice wtajemniczyli go w to, że zanieśliemy wraz z zakupem żołnierzom - tutaj czom Robcow poradził, żeby nie poszedł nikt z dorosłych, tylko dzieci. Będę w pobliżu żeby nic im się nie stało. Wychodząc z domu dał mi paczuszkę tytoniu. Powiedział rozdaj to też odemnie. Został z dala od bydłowych wagonów w których wożali polscy żołnierze papierosów i chleba. Nikt jednak nie miał dla nich tytoniu. Rozdawałam tytoń i naczynie z zakupem. Dziękowano najkwapczywiej odbierano tytoń. Kiedy wyszłam z toru i podeszłam do oddalonego Robcowa powiedział. Wanda więcej tego nie róbcie. To bardzo niebezpieczne. Wogóle nie możecie kręcić się w pobli-

zu stacji. Faktycznie żołnierze chodzili z bagnietami na broni. Wykrzykiwali, ale chłopcy czołgali się pod wagonami i w ten sposób najczęściej się podawało.

Po kilku dniach Hobeow zapukał do rodziców wcześniej niż zwykle powiedział, że chce się pożegnać. Wysłano go do Murmańska. Bardzo żałowaliśmy tego człowieka.

Już na następny dzień podjechały sanki i wysiadł z nich znacznie starszy wojskowy, wiekiem i rangą. Wszedł do mieszkania i powiedział zajmuję pokój po "komandirze" Był to z-ca komendanta miasta, Gronowski. Człowiek inteligentny. W Moskwie był redaktorem wojskowej gazety Na Strazę. Z Rodzicami mówił po niemiecku. Też bardzo często wieczory spędzał w naszej jadalni. Odwiedziła go żona moskiewski prokurator. Mówiła z ojcem po francusku. Była bardzo miła. Żegnając się z nami powiedziała: Jeżeli kiedyś będziecie w potrzebie Mario weź mój adres. Może będę mogła wam pomóc. Wiedziała co mogą z nami zrobić "wyzwoliciele". Po jej wyjeździe przyjechała inna pani Dobrowolska prawdopodobnie siostra z córeczką. Były bardzo krótko.

10 lutego 1940r w gimnazjum zastałam pustki. Dowiedziałam się że wywożą całe rodziny. Jak oszalała biegłam do domu z głośnym płaczem. Wpadłam i krzyczałam zaraz nas wywieźć. W tym czasie podjechały sanki po Gronowskiego. Wszedł dowiedzieć się co się stało. Powiedział uspokójcie się zaraz się dowiem. Przyjechał po jakimś czasie i powiedział na tych listach tym razem was niema. Nie pomysleliśmy wtedy, że mogą być dalsze listy, że na nich możemy być my.

Aresztowania trwały. Po aresztowaniu ojców w kilka dni później aresztowane matki. Dzieci zabierano do domów dziecka. Tego bałam się potwornie. Nie zdradzałam się tym, ale nie spałam nocami wsłuchiwałam się czy ktoś się nie zbliża do frontowych drzwi. W kilkanaście dni po sprawie opisanej listy osób do wywiezienia nasz 1 kator przyszedł się pożegnać. Powiedział: Przenoszą mnie do Mińska. Następnego dnia mieliśmy już nowego lokatora. Lejtenant Pisarenko. Niesympatyczny, nie utrzymywał z nami kontaktów.

Dzień wydłużał się, już nie bałam się wieczornych powrotów ze szkoły. W dzień nieraz była już odwili. Na noc znów silnie ścisnęła mroź. W domu mówiła się już o świątach. Biegałam z kolejki do kolejki żeby zrobić jakieś zakupy. Z Brochiczyna przywiozłam wszystko co tylko dało się kupić. Nadchodził wielki piątek, przed lekcyjami wstąpiłam po koleżankę Danusię Kaczmarczyk. Było mi tak radośnie jak nigdy od wybuchu wojny. Mote nastrojały to nadchodzące wielkanocne święta. Nie wiedziałam że jeszcze w tym dniu wbije się w moje serce raniąca ciera.

W nocy bardzo ostre uderzenia do drzwi. Wszyscy zerwaliśmy się z łóżek. Ojciec poszedł otworzyć drzwi. Do jadalni wszedł Ojciec z trzema AKW-estami. Oznajmili krótko. Był aresztowany Edward Dzikowski. Ojciec jak i my staliśmy jak zamurovani. Zaczęła się rewizja długa trwająca trzy godziny. Dom przewrócono do góry nogami. Mama trupie biała wynawiała: Ale za co? Odpowiedzi nie było. W końcu kazano się Ojcu ubrać. Mój płacz zmienił się w rozpaczliwy "ryk". Nikt nie reagował. Zabrano Ojca, metalową kasetkę z kosztownościami i dokumentami, maszynopisy aparatu fotograficznego. Ojcu też płynęły łzy po policzkach. Nie powrócił snem jak przy bombardowaniu. Bracia kurczowo trzymali Mamę w pół. Był to nigdy nie zapomniany dzień 23 marca 1940r.

W gimnazjum było nas tylko troje. Nie było profesorów. W drugim oczekiwaniu kałdy mówił o masowym aresztowaniu tej nocy. Wreszcie przyszła białoruska profesorka, kazała nam iść do domu. W następnym dniu też nie było uczniów. Skonaszowano trzy klasy razem i tak już chodziliśmy dalej do szkoły.

Święta były bardzo bolesne. Rano poszłam z Danusią do kościoła tam pani komandorowa Kozłowska bardzo pocieszała Mamę, że nie zostaliś same, że pomoże Francja, żeby się nie zakamywał. Skońce znów nam zaświeci. Ale dla nas to nie było pocieszą.

Zaraz po świątach zaczęli nas odwiedzać sąsiedzi. Napisali petycję do władz zbierali podpisy. Mówili wypuszczaj takiego prawego człowieka. To naprawdę pomoże matę szanownej pani wróci. Nie wrócił.

Dni upływały pełne dziecięcej trwogi, czy nie zabiorą nam też Matki. Równocześnie coraz bardziej stawałam się dorosłą, myśląc o przeżyciu, przecież pensji Tatusia już nie będzie. Nikt z aresztowanych rodziców klasowych kolegów aresztowanych już w październiku nie wrócił. Więc i nasza nadzieja była bardzo nikła. Każdy szaleł w nocy budził, dobiegające słowa z ulicy napawały lękiem czy to idą do nas?

Wieczorem dnia 12 kwietnia 1940r około godz. 23-j ktoś zastukał lekko do okna od strony ogrodu. Zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi. Do okna pukał sąsiad, kolejarz. Bardzo przeproszał Mamę, ale przyszedł ostrzec, że podstawiono wagony do wywozu Polaków. Szeptak wiedząc że mieszka tu Pisarenko. Proszę o wybaczenie, ale przygptujcie się jest 64 bydzące wagony z pryczami. Mama powiedziała na to, ależ proszę pana przecież jeszcze nic nie wiemy co z mężem, nie było rozprawy, nas to jeszcze nie dotyczy. Dziękuję panu bardzo. Odszedł bardzo zmieszany i zmartwiony. Około godz. 1-szej cichutko wyszedł Pisarenko z domu. Mama chodziła po pokoju nie położyła się już spać. Mówiła co się stało, że wyszedł Pisarenko? Przypomniałam wtedy sobie, że dwa-trzy dni temu. Pisarenko przyszedł z jakimś wojskowym kiedy nie było Mamy pokazywał mu mieszkanie, prosił o pokazanie jak pracuje radio. To zaniepokoiło nas jeszcze głębiej. Mama na naszą prośbę położyła się koło nas, ale wątpię czy spała. Trudno było zasnąć myśli odtwarzały noc aresztowania ojca, Mama ciągle głęboko wdychała. Około godz. czwartej nad ranem 13 kwietnia 1940 roku głośnie stukanie do drzwi frontowych oznajmiło najście "wyzwolicielei Białorusi" Szale czy lę, przyszli po Mamę. Mama poszła otworzyć drzwi. My dzieci za Mamą. W drzwiach trzech składających wizytę o tej porze wojskowych, Oficer i 2-szeregowców. To ci którzy obronili nas od presji hitlerowskich" Oficer zapytał "Tu mieszkają Dzikowscy. Mama w odpowiedzi: Jak tu przyszedł to przecież wiesz, że tak. Trzymaliśmy się całą trójką kurczowo Mamy. Mama była blada bardzo drżała. Byliśmy teraz pewni, że po Mamę, kiedy oficer powiedział - rewizja. Przez głowę przeleciały najtragiczniejsze myśli od aresztowania Tatusia, Mamusia była stale chora, ciągle brała

leki. Przez nasze dziecięce serduszka, kuczające się z bólu, biegła 31
nieodparta myśl. Tracimy Rodziców, umieszczą nas w domu dziecka nie od
najdziemy już się. Mama zaskabła. Pobieglam podać krople, żołnierz stoj-
cy przy nas odebrał je nie pozwolił podać nawet wody. Oficer po kilku
nastu minutach zapytał kiedy była ostatnia rewizja. Odpowiedziałam, że
23 marca br. Zebrano więc wszystkie noże, młotek szłem wszystko co mog-
ło skaleczyć, stanął koło tego jeden z żołnierzy. Oficer natomiast rozłożył
dokument i przeczytał. Spostrzegłam dużym drukiem napi "ORDER", powiedz-
iał. "Sawietuskaja Włast Pieresiedla jet was z etoj obłasti w druguju"
Pozostawiam wam pół godziny czasu na spakowanie się. Pozostawił jednego
żołnierza i wyszedł. Mama zaskabła poraz wtóry. Żołnierz pozwoli podać wo-
Pytam Mamę co mam pakować? Mama nie reagowała tylko nas tuliła do sie-
bie. Powiedziała ubierzcie się dzieci, co możemy wziąć w ciągu pół godzi-
ny, siedziała odrętwiała. Ja przypomniałam sobie pakowanie podczas bom-
bardowania. Bracia przynieśli wiklinowe kosze jak kufry, zaczęłam tam
upychać pościel. Bracia pomagali, a Mamusia była bez życia. Po chwili wsze-
dł oficer prowadząc młodą kobietę mieszkającą sąsiedniego domu, żonę bos-
mana marynarki wojennej. Oficer widząc Mamę otępienie powiedział "Macie
mało czasu, a w wagonie czeka na was już mąż pakujcie prędzej, tam też
trzeba żyć. Mama niby zaczęła pakować ale co podawałam, mówiła to nam
tam nie będzie potrzebna. Wkładałam kilka razy piękny bardzo gruby dywan
Mama zawsze go wyrzucała. Weszła do sypialni Rodziców, otworzyła szafę
zaczęła pakować odzież. W szafie stał ogromny portret Piłsudskiego usta-
wiony tam, po wkroczeniu bolszewików. Wystawiła portret i frontową stron-
ną oparła o żółta. Nasza ulubiona psina - wyżeł musiała być przywiązana
do drzwiczek od pieca tak bardzo skomlać rzucała się na nas. Przywiąza-
na skomlała żałośnie nadal.

Przyprowadzoną p. Szczutkowską oficer posadził koło żołnie-
rza i znów wyszedł. Mama osentacyjnie zmieniła umiejscowienie portretu
Piłsudskiego by go lepiej wyeksponować i zamianifestować wrogość. Mama
potrzebowała noża by odciąć sznur. Podeszła do złożonych noży. Żołnierz
wyrwał z rąk Mamę nóż. Mama złapała go na wysokości piersi za płaszcz

chwyciła inny nóż i mierząc mu w piersi krzyczała "Co boisz się ty chamie, że cię zabije? W tej chwili p. Szczutkowska poderwała się i pięściami zaczęła walić żołnierza w piersi. Usłyszeli, że ktoś wchodzi. Wszedł oficer odebrał z rąk Mamy nóż, a p. Szczutkowska upadła pozorując zemdlenie. Oficer bez słowa na to co zaszło, zapytał czy gotowi. Mama odpowiedziała skoro mąż czeka w wagonie to tak. Oficer zapytał czemu nie pakujecie firanek. Sza wszedł na krzesło i zdjął jedną firanę. Wszedł do sypialni. Portret Piłsudskiego odrócił tyłem. Spostrzegł w szafie wszystkie Tatusia ubrania zapytał dla czego tego nie zapakowaliście i sam włożył wszystkie ubrania Tatusia do kosza. Mama widząc to powiedziała "Czy ta chamie myślisz, że ja w to wierzę, że w wagonie jest mąż." Oficer wszedł do kuchni, otworzył szpiżarkę wziął dwa gliniane garnki tłuszczu, worek sucharów i zapakował to wraz z naczyniami do wanny. Znow wyszedł z domu. Powrócił z sąsiadem panem Rusinowiczem. Oficer pobieżnie zaczął spisywać pozostawione mienie. Pan Rusinowicz podpisał ten protokół. Zaczęło się pożeganie z Azą. Przez cały czas skomlała, a przy jej pysku płynęły dwie strugi łez, Głowę trzymała na przednich łapach. Chłopcy tulili ją swego wiernego przyjaciela który płacząc bez przesady przeczuwał naszą tragiczną niedolę. Oficer kazał wychodzić podać Mamie jeden egzemplarz protokołu. Pomagał nam wynieść dwa kosze i wannę, z ładunkiem, wiele podwód już jechało ulicą, ruszyła i nasza. Łkania nas i jadących przed nami były tak przejmujące, napewno wszyscy tak jak ja drżeliśmy z przerażenia. Podwoły skręcały w kierunku rampy kolejowej. Z innych ulic też wyłaniały się załadowane podwoły przy których szły grupki szlochających ludzi. Podwoły skierowały się do stojącego tam długiego składu wagonów towarowych. Dosłownie w to samo miejsce gdzie kilka miesięcy temu stały transporty jeńców i więźniów. W pobliżu torów stały niezliczone tłumy ludzi odprowadzających swoich bliskich, tłum i "eszałon" dzielił szpaler wojska.

Podjechała nasza podwoda z p. Szczutkowską do wagonu Nr. 23 tu kazano nam się rozładować. Tu już oficer nam nie pomagał. Rozmawiał z innymi oficerami. Przy każdym wagonie stanął żołnierz z bagnietą na broni. Wagon "przystosowany" do przewożenia zesłańców. Miał cztery nary z denek

piętrowe, po obu stronach wagonu. Naprzeciw drzwi wejściowych był blaszany "parawan" zakrywający rurę i wiadro. Rura służyła do wylewania fekaliów. Byliśmy w wagonie jedni z pierwszych. Zajęliśmy w tej sanonce górną półkę. W pobliżu okratowanego okienka. Wagon nie był oczyszczony z poprzednio przewożonych zwierząt, cuchnęło potwornie. Wstawiono tylko nary i zasłonę. Nie pamiętam już dziś nazwisk towarzyszy wagonowych niedoli. Z wagonów słychać było modlitwy i wołania do stojących z dala bliskich. Zapamiętałam tylko p. Krynicką Marię z Wojtkiem i Basią p. Noiszewską, Szczytkowską, Tylkowską z dziećmi, p. Fabisiak z dorosłym synem p. Zacharewicz z trójką młodych ludzi.

Po ułożeniu się, Józio zaczął prosić Mamę by pozwoliła mu pobeżnąć do krawca po szyty tam garnitur, Mamusia nie zezwalała. Ale brat znikł. Krawiec mieszkał w pobliżu dworca i Państwa Niedzwieckich. Kiedy spostrzegliśmy, że niema brata. Mama wpadła w bezgraniczną rozpacz. Czas upływał, a brat nie wracał. Nie było go już kilka godzin. Mama bez przerwy chodziła po małym skrawku wagonu, między bagażami. Zbliżała się 16-ta. Brata nie było. Zaczęto zamykać "salonki" Za torami na skarpie potęgował się płacz. Odgłosy te wyraźnie dochodziły do wagonów. Tam gdzie zostały zamknięte już wagony słychać było nie płacz lecz nie ludzkie wycia. Przechodził wzdłuż wagonów oficer, który nas zabierał. Mama zawołała na niego. Mama wyskoczyła z wagonu i podbiegła do niego. Żołnierz usiłował Mamę wstrzymać. Oficer dał znak żołnierzowi i zaczął rozmawiać z Mamą. Nic nie odpowiedział podprowadził Mamę do wagonu. Co jakiś czas podchodził, pytał jest już. Nie było Nasz jedyny wagon został niezapłacony. Wreszcie zobaczyliśmy biegnącego brata z dwoma bochenkami chlebką z zupą no i na ręku ubraniem. Brat krzyczał tak długo czekałem bo ubranie nie było gotowe. Było to jego pierwsze ubranie z spodniami "pompi" musiał je mieć. Oficer stał przy wagonie. Zaraz zaryglowano wagon. W naszej rodzinie w wagonie panowała radość, że jest brat przez taką chwilę, ale zaraz udzielił się nastrój jaki panował. Głośne zbierowe modlitwy w nieustających łkaniach. W którychś z wagonów zaintenowano

Kto się w opiekę podda Panu Swemu" pieśń popłynęła ze wszystkich wagonów. A z zewnątrz z żegnającego tłumu "Serdeczna Matko opiekunko ludu" mieszająca się z pieśnią "Z tej biednej ziemi z tej łez doliny. Mężczyźni widziani przez zakratowane okienko zdejmowali nakrycia głowy, kobiety w tłumie młlały. Tak falujący tłum żegnał żałosny kondukt na zesłanie Szpaler ludzi żegnających stał przez kilka kilometrów. Pociąg nabierał rozpędu, a w wagonach trwały zbiorowe modły i nie milknące łkanie.

Najstarsza pani w "salonce" pani Zacharewicz powiedziała Jeżeli gdzieś się zatrzymamy, zaczniemy walić w drzwi, żeby nas wypuszczono załatwić się. Jak nas wypuszczą staniami rzędem, każda opuści majtki i pokażemy im tyłki. Część zaaprobowała, inne milczyły.

Pociąg zatrzymał się w Stołbcach. Dawne graniczne miasto. Potężnie waliłyśmy w drzwi, żeżnierz wagon otworzył. Pozwolił wyjść. Wszystkie stanęłyśmy rzędem i tak jak zaplanowabo pokazaliśmy żeżnierzom tyłki, i zaraz weszłyśmy do wagonu. Dziś myślę co to dało? Nigdy więcej już nam nie otworzono wagonu, Tylko raz dziennie po gorącą wodę "kipietok i wiadro podłej zupy. Po ten prowiant zawsze wychodziło od nas dwie osoby.

Pociąg pędził dzień i noc. Postoje były bardzo krótkie. W wagonach toczyły się rozmowy jak przyszli zabrać "zbawcy" z opowiadań wynikało, że nasz oficer był wspaniałym człowiekiem, że sam pakował nam dobytek. U innych zachowywano się brutalnie, bagaż okładał się z małych walizek. W naszym wagonie nie było ani jednego ojca, wszyscy wcześniej aresztowani. Wagon liczył 47 osób nasza połowa wagonu była zajęta przez 24 osoby. Na środku wagonu było coraz ciśniej, bo każdy szukał cieplejszej odzieży, wagony były nie opalone a przecież to początek chłodnej wiosny. W wagonie unosił się przykry zapach odchodów. Wszyscy traktowali się jak wielka rodzina, częstowali zapasami, podawali coś do okrycia. A jednak w tym wszystkim byliśmy szczęśliwi, że nie trafiliśmy do pierwszego wywozu 10 lutego 40r. Jak ten transport przeżyli w silnych mrozach nasi poprzednicy. Przez okratowane okienko my dzieci wyglądaliśmy na zmienne. Matki nie brały w tym udziału, Matki raczej były małomówne, zatroskane

Nieoczekiwanie pewnego dnia w sąsiednim wagonie zobaczyłam. szkolnego kolegę Lonię Słizewskiego. W wagonie tym jechał też Dr. Besser z żoną i córkami Ireną i Julią. Pewnego dnia już pod koniec podróży, pociąg nasz zatrzymał się na stacji. Jak zwykle stanęli i przechadzali się wzdłuż każdego wagonu żołnierze. W pewnej chwili z wagonu gdzie jechał Lonia, kiedy pod rurą na nieczystości przechadzał się wartownik, z rury wylano wprost na niego celowe pełne wiadro nieczystości. Strażnik bez słowa odszedł cały zlany cuchnącą cieczą. Zaraz podmienił go inny żołnierz.

Przejeżdżaliśmy wspaniałe krajobrazy, wiele dużych miast jak Orzeł, Penza, Oresa, Kazań, Pietropawłowsk, Woroneż, Czelabińsk. Miasta były szare ludność bardzo źle ubrana przeważnie w fufajki, na wołania z naszych wagonów nie zatrzymywała się. Tylko w Woroneżu widziałam pięknie ubrane w stroje ludowe kobiety, przy donkach na zawczkach siedzieli też starzy ludzie przeważnie w strojach starorosyjskich. Kobiety w "sarafanach" przepiękne czepce na głowach. Zrobiło to pamiętam na mnie duże wrażenie. Może dlatego, że szary ciemny wagon był tak przytłaczający. Najwięcej oknem ja wyglądałam bo miałam posłanie przy tym zakratowanym małym oknie. Zapamiętałam też cudowny Ural. Tu kobiety na dworcu podawały nam chleb i kwas chlebowy przez okienko. Podchodziły oficjalnie, nie bały się.

Z tej zaplanowanej przez Mołotowa i Stalina naszej podróży, starca zamiatającego peron w fufajce pełnej kat. Wyrzuciliśmy mu przez okienko kawałek słoniny i chleba. Starzec złapał to zawiniątko wepchał za pazuchę rozglądając się czy ktoś go nie widzi. Po chwili usiadł rozwinął zawiniątko i bardzo kępczywie jadł.

Upływał czternasty dzień naszej podróży. Pociąg nasz zatrzymał się na dość długo, potem przetoczono go na inny tor, gdzie stała kolumna samochodów ciężarowych. Ciężarówki zaczęły podjeżdżać pod wagony tak, że jak otworzono tylnia lapa skrzyni wchodziła do wagonu.

Zapytaliśmy kierowcę gdzie jesteśmy odpowiadział Siew

wiernie Kazachstańskaja obłast gorod Kokezetaw. Kazano nam załadować nasz skromny dobytek na ciężarówkę. Najpierw załadowały się rodziny z dolnych półek. Po odjeździe ich samochodu podstawiono drugi do tego załadowała się pani Tylkowska z rodziną, pani Krynicka z rodziną p. Mura Noiszewska, pani Szczutkowska i my.

Ładując się spostrzegliśmy oficera, który nas zabierał z domu. Mama powiedziała do NKWD-isty no gdzie jest mój mąż, tak zapewniłicie. Oficer odpowiedział pojechali wcześniej przygotować wam kwatery.

Było już popołudnie kiedy kolumny samochodów ruszyły w kilku kierunkach, w nieznane. Droga biegła przez nietypowe dla nas gurzyste tereny, to znów płaskie stepy bezdrzewne, to znów zalesione tereny. W końcu papadka ciemna bezksiężycowa noc.

Głęboką nocą samochód nasz zatrzymał się w dużej wsi. Przyjechaliśmy do Łobanowa Aryk-Bałyckiego rejonu Siewierno Kazachstańskiej obłasti, kołchoz im. Stalina.

Z E S Z A N I E

16 marzec 1946 - 23 marzec 1946 rok

Nasz samochód z jeszcze kilkoma zatrzymał się w środku wsi na niewielkim placu. Majaczyły się w ciemności małe parterowe drewniane domki. Szfer krzyknął "wygruzajcieś" Zaczęliśmy schodzić z ciętarówek, ściągać nasz dobytek. W jednym dość dużym też parterowym domu zamajaczyło wątłe światło. Czekaliśmy na nas kilka pustych klas szkolnych w każdej na oknie stała naftowa lampa. Słabo oświetlając duże pomieszczenie. Rozłożyliśmy się na podłodze w kącie. Wokół nas rozkładały się inne rodziny. Byliśmy potwornie brudni, zakurzeni, a w pomieszczeniach nie było żadnego wiadra z wodą. Przecież w kurzu jechaliśmy z koczetawu jak poinformował kierowca 80km. samochód był bez plandeki. Potwornie zmęczeni wszyscy ułożyli się jak najprędzej na posłaniu by odpocząć.

Nadszedł ranek, wyszliśmy przed szkołę. Podczas nocy zapoznaliśmy się inne klasy Polakami. Przed domem zobaczyłem Łonę Sliżewskiego. Wieś leżała można powiedzieć w kotlinie. Otoczona górami zalesionymi i lasem. Przepięknie prezentowały się trzy wierzchołki gór tworzącą pół korony. Przed górami i zaraz za zabudowaniami było ogromne jezioro. Wieś miała jedno dwa i cztero izbowe domki z małymi okienkami. Domki z dwóch stron były zabudowane, ochronnie przed zaspami śnieżnymi tak zwany tam "dwór" dachy domków pokrywała darnią. Z kominów każdej izbuszki unosił się pięknie jasno szary dym. Był wczesny ranek i przygotowywano strawę na cały dzień. Przez placyk przejeżdżały podwozy z ludźmi, inne niż te poleskie. Przechodzili pośpiesznie ludzie ale nikt nie zwracał uwagi na nas stojących przed domem. Trzeba było

pomyśleć o posiłku. Nie można było ugotować, brak chleba, wody. Chrupaliśmy resztki sucharów. Dzień upływał, nadal brudni, głodni czekaliśmy żeby dowiedzieć się co dalej. Pani Sliżewska i Krynicka mówiły dobrze po rosyjsku. Ale każdy tubylec omijał nasz dom. Siedziałam z rówieśnikami na ganku szkoły, zapadał mrok. Lonia powiedział zebacz tam pod domem siedzi ktoś od dłuższego czasu. Podejdzmy do niego. Poszliśmy byk to starzec z piękną siwą długą brodą. Był stróżem, pilnował budynku w którym mieścił się sklep. Lonia pozdrowił go po rosyjsku, i zapytał czy wie gdzie są tu nasi ojcowie. Staruszek pokiwał głową, kazał nam usiąść koło siebie. Zapytał z kąd przyjechaliśmy, ile jest dzieci. Dziadek powiedział oszukali was, niewiedzieliśmy ile było dzieci. Staruszek powiedział niech przyjdzie jakaś kobieta jak się ściemni moja starucha przyniesie dla dzieci mleka. Pobiegliśmy z nowinami. Opowiedzieliśmy matkom, że nigdzie tu nie przywieźli naszych ojców, że nas oszukano. Kilka matek powiedziało: A co innego mogliśmy się po nich spodziewać. Gdy ściemniało się panie Krynicka i Sliżewska poszły do staruszka. Wróciły z dzbanem mleka, podzieliły go wśród najmłodszych a były i roczne dzieci. Zaczęły przekazywać to co słyszały od dziadka: że mieszkańcy wsi zostali poinformowani, o przywiezieniu żon polskich oficerów chorych wenerycznie, dlatego mieszkańcy nas omijają. Wszystkie matki zaczęły naradę. Ustaliły, że pójda trzy panie mówiące po rosyjsku do zwierzchnika wsi. Przyjął je Przewodniczący Wiejskiej Rady Narodowej. Delegacja żądała kategorycznego przebadania wszystkich i potraktowania nas jak ludzi. Poskutkowało. Już po południu zaczęły podjeżdżać podwozy i zabierać rodziny. Rozkwaterowano nas u koźchozników.

Nas zabrał kowal Anton Antonow. Była to dwu izbowa chata. Gospodyni nagrzała nam kąpiel /banie/ Była to stojąca we dworze mała chatynka z dużym piecem., dwu poziomowymi narami i ławką, beczką z wodą- łożem. Było potwornie gorąco. Mama otworzyła drzwi bani zawieszając je płaszczen kompielowym. Usłyszeliśmy śmiech gospodarzy, oka-

zało się później, że śmieli się że otwieraliśmy drzwi od łaźni, a należy zachować wysoką temperaturę w tym pomieszczeniu. Bziwiła nas miotła z dużymi brzoźowymi jak świeżymi liśćmi. Nie wiedziliśmy, że miała służyć do "biczowania" ciała podczas kompieli. Wydobywało się ogromnie duże pary

Po kompieli rozlokowaliśmy się w pokoju. Stało tam jedno łóżko z ułożonymi trzema korenkowymi poduszkami, narzuta biała, gruba wytłaczana, w rogu pokoju obraz święty z ozdobnym lnianym ręcznikiem, skrzynia na odzież, stół i dwa krzesła. Na ścianie duża rama i pod saklem kilkanaście fotografii. Podłoga błyszcząca farbą w kolorze orzecha, białe wybielone ściany. Pokój miał nie wysoki piec, dziwny, dwa okna. Kuchnia o jednym oknie, w której 1/4 zajmował duży chlebowy piec. Przy przeciwnej ścianie stała wysoka skrzynia długości i szerokości kanapy, na niej leżały jakieś derki i odzież. Od drzwi do pokoju "gornicy" do końca ściany i ściana od okna jednego w kuchni aż do paleniska ciągnęła się ławka. Stał tam coś jak gdyby stolicek na nim koryto przykryte lnianą płachtą. W rogu też "ikona" przy ławce stół, a przy drzwiach duża beczka z wodą. Między piecem a ścianą duża przestrzeń z półką zwana "pałacie" był tam skład różnej zimowej odzieży, spane też na pałaciach. Domek jak wszystkie chaty był oparkaniony na wysokość domu, z tym, że pokryty nie był darniną ale skórą. Stała tam krowina, i w ogrodzeniu świnka.

Piec otwierał się blaszaną zasłoną miał okap na którym właściwie nie nie stało. Natomiast w piecu zawsze wieczorem układało się w kwadrat drzewo., grube rąbane. W rogu przy otworze był zagrzebany żar, który tlił do następnego ranka. Z tego gospodarz zapalał też papierosy. W przypadku wygaśnięcia żaru biegło się z kubeczkim do sąsiadów po żar.

Z kuchni wychodziła się najpierw do sieni, przedzielonej drzwiami w której mieściła się spiżarnia. dopiero wchodziło się do dworu. Wszystkie domy bez względu na wielkość umeblowane były jednakowo, jednak wy był też rozkład mieszkań,

Już w następnym dniu gospodyni wymieniła sumę za wynajęcie kwatery. Coż nie miliardy rubli, gospodyni zaproponowała wymianę prze-

ścieradło na pewien czas, dziś już nie pamiętam na jak długo. Mama chętnie się zgodziła, a gospodyni zaraz uszyła z niego koszulę dla siebie. Nie spali tam tubylcy w białej pościeli. Mieli po dwa przedścieradła służące "na wystawę" kółka w pokoju. Białe poduszki były też tylko na wystawę. Kołdry watowane bez poszew. szyte z różno kolorowych łatek w trójkąty i kratki. Zimą spano pod kożuchami w których chodzono w dzień a za poduszki często służyła też zniszczona odzież. Spano na podłodze lub pałasiach w kuchni, rodzice na zasieku w kuchni. Starcy przeważnie na piecu.

Wyposażenie kuchenne bardzo, bardzo prymitywne. Kila różnej pojemności stalowych garnków zwanych "czuguny" wstawianych do pieca za pomocą drążka z żelaznym rozwidleniem. dwie patelnie, mniejsza i większa. Za talerze służyło 2-3 miski. Na stole ustawiało się w środku jedną z zupą i wszyscy z niej jedli drewnianymi okrągłymi kolorowymi łyżkami. W domu był 1-2 noże większe kuchenne, nie posługiwano się wcale widelcami. Były dwa drewniane koryta. "Chleбноje koryto" i ściernalnoje koryto" do prania w niektórych domach były dzieże do chleba, krótkie beczeczki. Koryto do rąbania tytoniu. Prało się w korycie, bez mydła w ługu z popiołu drzewnego. Gotowanie bielizny, to wkładanie jej do beczki i zalanie na godzinę wrzącym ługiem. suszono bieliznę na płotach. Można powiedzieć że bielizna ograniczała się do kałesonów męskich i koszuli męskiej, natomiast kobiety poza koszulą nie nosiły żadnej bielizny. Noworodki zamiast pieluszek miały różno kolorowe perkalowe szmaty. Zamiast smoczka w szmatce rożnięty przez matkę chleb lub roztartą na blasze wybitej gwoździem dziurkami marchew. Zawijano się to w mały węzełek i wkładało do ust dziecka. Nie było w żadnym domu zegara. Czas wymierzało słońce. Nie było we wsi ani jednego roweru.

Odzież damska składała się z koszuli płuciennej, kilku spódnic kolorowych, kwiatyastych i bluzek, najczęściej białych lnianych. kilku chustek na głowę, staromodnych półbutów i zimną walonków. W chłodne dni narzucały kurtki z sukna, a zimną chodzący w kożuchach zwanych połuszybkami. Mężczyźni ubierali się w lecie w wysokie buty z cholewanami na wie

rach pod kolanem wypuszczonej spodniami, na spodnie nakładanymi koszulami zamykanymi pod stojącym kołnierzykiem na bocznej plisie. Też kurtki na chłodne dni, a zimą połoszubki. Podobnie ubierane były dzieci. W zimie kobiety elegancki zakładają puchowe szale, inne grube kraciaste chustki wełniane na głowę i plecy. Mężczyźni czapki uszatki. Skarpety i rękawice damskie jak i pończochy robiło się z wełny, a rękawice męskie z psiej skóry. Kobiety nosiły proste kolczyki. Na święta korale. Nikt nie nosił ogrzeczka. Przy wchodzeniu do izby wszyscy mężczyźni i kobiety, dzieci zawsze zdejmowali obuwie. Wchodząc kłaniali się obrazowi świętemu i konie następnie pozdrawiali. W okresie zimy przeważnie rodziły się cielaki. Wtedy cielak na okres kilku tygodni zamieszkiwał z mieszkańcami w kuchni. W kuchni też w suficie każdej chłoty wkręcony był hak, na którym zawieszano się tak zwaną "zybkę" kołyskę dla dziecka. Była to prostokątna rama z przybitym do drzewa wkleśniętym lnianym płótnem. Tam spały niemowlęta.

Potrawy były skromne. Gotowało się przeważnie raz dziennie rano w chlebowym piecu. Zupę mleczną, lub przysmażane ziemniaki popijane mlekiem. Kiedy piekło się chleb, robiło się podpłomyki smarowane roztopionym masłem. Pieróg na dużej patelni z ziemniakami lub rybą, były też delicje "szaniuszki" placuszki nadziane, gotowaną postną marchwią, kartoflami, lub burakami. W lecie dzikimi truskawkami. Zupy to przeważnie kilka kartofli, 1 cebula, woda i trochę śmietany, w zimie dodawano mięso i kapustę. Jaja były rzadko. Zupa ta stała przez cały dzień w żarze w piecu. Wieczorem było mleko z chlebem. Chleb był przy wszystkich posiłkach nawet jedząc kartofle.

Nie było tam chorób, jedynie dzieci prawie wszystkie chorowały na tak zwaną "zekotuchę" były to otwarte ropiejące duże rany za uchem. Długo nie gojące się.

Zamieszkaliśmy w pokoju. Spaliśmy jedno koło drugiego, w biały pościeli co niezmiernie dziwiło gospodynię. W koszulach nocnych, co uważano za sukienki bardzo modne. Kiedy Manusia zrobiła pierwsze pranie gospodyni znieruchomiła, jaką wy macie bieliznę mówić, jaka odzież.

Kiedy pranie zostało zawieszane na płocie przybiegły wszystkie kobiety nawet z przyległych ulic by podziwiać i pytać: gdzie wyście takie rzeczy kupili. Opowiadaliśmy, że u nas jest wszystko, ogromne sklepy po brzegi wypełnione wszystkim co można wymarzyć. Mówiły nie mówcie nam bajek. Tylko starzy ludzie mówili: u nas za cara batiuszki też można było wszystko kupić. Dziwiły się, że Mama prała mydłem, Oni nie mieli mydła do mycia, gruntownie myli się raz w tygodniu w bani, co dzienni woda wlewana była w pojemnik dwu, trzy litrowy, który u spodu miał coś w rodzaju dużego gwoźdźnia popchyny w górę wydzielał małe dawki wody. Pojemnik taki był we dworze i w kuchni.

Sklep spółdzielczy dużej powierzchni nie miał żadnych artykułów spożywczych, materiałów, obuwia były tak staromodne kapelusze na półkach przez nikogo tu nie noszone. A przecież był to rok 1940 Świat prześcigał się w nowoczesności, a tu prymityw jaki 100 lat temu był w Europie. Dzieci bawiły się zrobionymi przez matki z gałganków lalkami, fajerkami-kułkami prowadzonymi na drucie. Polskie laleczki u małych dzieci i inne zabawki budziły ogromną sensację.

By zakupić żywność zaczęła się wyprzedzać przedewszystkim przedścierać i poszw. Za to kupowało się bardzo białą przenną mąkę, z której też tu pieczono biały tylko biały chleb. przeważnie w kształcie małego wieńca zwany "Kołacz" ziemniaki były bardzo drogie bo mało tu się ich uprawiało. Zapasy przywiezione błyskawicznie kończyły się. Kołchoznice rano piekły też placuszki zwane oładziki i bliny które maczono w roztopionym maśle. Nas nie było na to stać, zimą robiły tak zwane pilimieni z mięsa wieprzowego siekanego/maszynek do mięsa nie było/robiono tego zimą setki pakowano w worki zamrażano. Zamrażano też w zimie mleko w miskach na okres zacielenia krowy. Przechowywano też w workach.

Dodać muszę, że w lecie przechowywano mleko w tak zwanych podrebach był do dół wykopany w podwórzu na którym były położone drewniane żerdki i darninę, na tym usypyany kopiec z ziemi i drewnia-

ne drzwi. Natomiast w zimie używano "podwaz" piwnica do której schodził się z otworu w podłodze w kuchni.

Z resztą Polaków poznaliśmy się bardzo szybko. 1 maja każda rodzina kołchozników zabrała polską rodzinę zamieszkałą u nich na wiec "miting" odbywał się on na placu koło "Siel-Sowietu". Na placu tym zaraz zebrała się w gromadę cała polonia. Każdy podawał gdzie mieszkał, doradzano wzajemnie z czego i jak żyć. Wiosna była duża licząca stałych mieszkańców ponad 1.000 i uczniów Wojewódzkiej Szkoły Traktorystów i kombajnistów ponad 100 zakwaterowanych odpłatnie u kołchozników.

Po mitingu zaczęło się świętowanie kołchozników. Były to trzy dni muzyki, pieśni, tańca, pijatyki i obrzastwa. Tańczono wszędzie, w domach, przed domami, na trawie. Przygrywały harmonie guzikówki "bajany" i bałabajki. Myśmy byli mimo zaproszeń bardzo obcy. Zabawy te miały w sobie jakąś dzikość. Niczym nie przypominały przyjęć w naszym domu.

Jeszcze na placu podczas mitingu zrobiłam sobie spis naszej polskiej grupy. Byli to:

Andrusiewicz Bronisława	mąż policjant z dziećmi, Ryszardem, Zofią, Janem i Edwardem
Bodera Helena	mąż policjant " Janem
Cichura Maria	inżynier " Goga
Czajkowska Katarzyna	ziemianie z wnuczką Małą poddworną
Dzikowska Maria	nad.kom.Kont- z dziećmi Wandą, Józefem i Hubertem
Gutkowska Apolonia	troli skarbo. Sierżant W.P. Henryk, Stanisław, Zdzisław
Jakutowicz Teresa	urzędniczka
Krynica Maria	inżynier Wojciech i Barbara
Krasnoszczekowa Tamara	urzędnik Zina, Lusja, Goga, Kola Wowa.
Młynarczyk Zofia	urzędniczka
Nowakowska Eugenia	Pracow. Dwujki Mieczysław
Noiszewska Maria	inżynier
Pożowiec Maria	sołtys Maria, Tatiana, Piotr, Tasia

Rogucka Irena	Prac.Dwójki	
Śliżewska Wiera	urzędnik	z dziećmi Władysławem
Sztukowska Sylwia	bosman	
Tylkowska Helena	urzędnik	Lila, Wincenty, Jolanta
Zienkiewicz Maria	urzędnik	Zygmunt.

Razem osiemnaście rodzin,razem liczących 48 osób.

Zaraz po 1 maja wezwano nas do sielsowietu by podjąć pracę.

Kobiety i dorastające dziewczęta skierowano do pielienia pszenicy.Dorastających chłopców do obór. Dzieci w wieku braci skierowano do szkoły o jedną klasę niżej, W szkole niestety bracia byli tylko do wakacji tj. do czerwca,Zostali okradzeni z najmniejszych drobiazgów już w pierwsze dni.Z opowiadań kołchozników wiedzieliśmy już jak sroga panuje tu zima tak, że z powodu braku odpowiedniej odzieży chodzenie do szkoły braci jak i ich rówieśników było nie możliwe.Zadne dziecko nie uczyło się w szkole do końca naszego tam pobytu.

Zapoznawaliśmy się jadąc w pole z terenem naszej wsi.Wieś miała duży parowy młyn i trzy wiatraki, ośrodek zdrowia z felczerem i położną biuro zarządu kołchozu, biuro sielsowietu. Do rejonu Aryk-Bałyku mieliśmy 38 km. do miasta wojewódzkiego 80km.Zadnej innej lokomocji niż koń i wozy.W roku 1942 województwo nasze zostało zmienione z Siewierno Kazachstańskiej obłasti na Akmołińską, a w 1944 Kokczetaw stał się naszym miastem wojewódzkim.Województwo nasze graniczyło z: województwami w kole: Pietropawłowskie, Akmołińskie, Omskie, Nowo Sybirskie i Kazanskie. Łobanowo leżało w kotlinie.Mieliśmy pod dostatkiem drzewa opałowego. Inni zesłańcy nie mieli tego luksusu nawet i w naszym rejonie.opalali "kizia kami" były to bydlęce odchody mieszane z gliną formowane w duże cegły.

W pole kołchoznicy zabierali do jedzenia chleb i mleko.Muszę dodać, że przed świętami państwowymi do sklepów dostarczano, mydło, cukier zapakki wódkę z beczek nalewaną do wiader.Tworzyły się potworne kolejki całe rodziny.W tym też okresie przywożono kolorowe perkale, małe płótna.

W pole jechało się drabiniastym wozem, kobiety tylko po rozlekow

45
aniu się i ruszeniu wozu zaczynały grupowe śpiewy. W naszej brygadzie pracowały panie Andrusiewicz, Słizewska, Krynicka, Manusia i ja. Inne Polki należały do innych brygad. Prace polowe prowadziła tak zwana "Zienowaja" podawała w którym rzędzie mamy się ustawić i co wyrwać. Kiedy ty zaraz znów zaczynały śpiewać. Grupowa po jakimś czasie znów zaczynała "pirikur" była to przerwa na wypoczynek. Wszystkie kładły się lub siadały w brzdach, szukały wszy, inne drzemały, plotkowały. Znów wracało się do pracy. Po jakimś czasie znów był pirikur, bo przywieziono w beczkach wodę. Każda zanurzała swój blaszany kubek w beczce nabierając wodę. Kołchoznice częstowały nas mlekiem, szaniuszkami, zawsze okazywały nam dużą serdeczność. Przed zachodem słońca wsiadałyśmy znów na wozy. Zaczynały się znów śpiewy z czasem i ja włączyłam się do tego śpiewu. Z łąk w tumanie kurzu wracało do wsi kołchoznie i kochłozników bydło. Z niewielu domów unosił się dymek, widok był malowniczy. Na twarzach naszych matek widoczne było zmęczenie, ja nie odczuwałam tego, przebytego trudu.

W domu już nie wpiecu ale na "Togankach" kółku z umocowanymi trzema nóżkami stawiało się garnek z zupą, pod nim rozpalano się ognisko, zaraz po kolacji kładliśmy się spać.

Teraz już przed gospodynią zaczęła Mama wstawiać, rozpalala piec z żaru brzożową kerą, podpalala wieczorem ułożone drzewo. Wstawiała "czuguny" z jedzeniem często na cały dzień. W soboty gospodyni wstawiała do pieczenia chleba. W soboty też były kompiele. Matki szły razem z dziećmi, a potem mężczyźni. Teraz już dokładnie opiszę kompiel w piec wrzucało się kamienie. Nagrzane silne wyjmowało się hakiem na szufle i wrzucało do beczki z wodą i popiołem woda kipiła. Potem do mycia nabierano dużym czrpakiem "kowszen" oblewało się ciało i siadało na półki, biło się miotełkami. Wlewając co chwila wodę z nagrzany piec dla wydobyć większej pary. Zimą nawet najstarsi potakim rozgrzaniem wychodzili nadzy na śnieg wytarzali się w śniegi i wracali do ba

Niedziela była tu odczuwalna. Ale tylko wiosną i jesienią. Kołchoznicy siadali na ławkach przed domem albo grubym ociosanym z

45
aniu się i ruszeniu wozu zaczynały grupowe śpiewy. W naszej brygadzie
pracowały panie Andrusiewicz, Słizewska, Krynicka, Manusia i ja. Inne
Polki należały do innych brygad. Prace polowe prowadziła tak zwana "Z
enowaja" podawała w którym rzędzie mamy się ustawić i co wrywać. Kobi
ty zaraz znów zaczynały śpiewać. Grupowa po jakimś czasie znów zaczyna
wołać "pirikur" była to przerwa na wypoczynek. Wszystkie kładły się
lub siadały w brzdach, szukały wasy, inne drzemały, plotkowały. Znów
wracało się do pracy. Po jakimś czasie znów był pirikur, bo przywie
zione w beczkach wodę. Każda zanurzała swój blaszyny kubek w beczce
nabierając wodę. Kołchoznice częstowały nas mlekiem, szaniuszkami, zawsze
okazywały nam dużą serdeczność. Przed zachodem słońca wsładałyśmy znowu
na wozy. Zaczynały się znów śpiewy z czasem i ja włączyłam się do
tego śpiewu, Z łąk w tumanie kurzu wracało do wsi kołchoznie i kochko
zników bydło. Z niewielu domów unosił się dymek, widok był malowniczy.
Na twarzach naszych matek widoczne było zmęczenie, ja nie odczuwałam
tego, przebytego trudu.

W domu już nie wplecu ale na "Tegankach" kółku z umocowanymi
mi trzema nóżkami stawiało się garnek z zupą, pod nim rozpalało się
ognisko, zaraz po kolacji kładliśmy się spać.

Teraz już przed gospodynią zaczęła Mama wstawiać, rozpalała
piec z ładu brzożową korą, podpalała wieczorem ułożone drzewo. Wstawia
ła "czuguny" z jedzeniem często na cały dzień. W soboty gospodyni
wstawiała do pieczenia chleba. W soboty też były kompiele. Matki szły ra
zem z dziećmi, a potem mężczyźni. Teraz już dokładnie opiszę kompiel
w piec wrzucało się kamienie. Nagrzane silnie wyjmowało się hakiem na
szufle i wrzucało do beczki z wodą i popiołem woda kipiała. Potem do
mycia nabierano dużym czpakiem "kowszem" oblewało się ciało i siada
ło na półki, biko się miotełkami. Wlewając co chwila wodę z nagrzanego
piec dla wydobyć większej pary. Zimą nawet najstarsi potakim rozgrze
niu wychodzili nadsy na śnieg wytarzali się w śniegu i wracali do ba

Niedziela była tu odczuwalna. Ale tylko wiosną i jesienią.
Kołchoznicy siedywali na ławkach przed domem albo grubym ociosanym z

gałęzi drzewem. Wylegiwali się na trawie koło domu, wieczorami bez względu na wiek tworzyły się grupy, ale z przewagą młodzieży grali na bażabajkach, bajanach, gitarach i śpiewano. Mężdzi pozostawali niemal do świtu. Gospodynie leżąc na trawie szukały sobie na wzajem w głowach wszy. Zabijały je opierając o nóż kuchenny. Wszystkie mężatki nosiły włosy zwijane w kok dziewczęta w warkocze.

I znów rano wajaz w pole, od świtu do zmroku, każdy dzień niezmienny, w trosce jak żyć kołchoz nic nie płacił. Dopiero w końcu roku po zbiorach. Sprzedawały Matki nasze co się dało na trochę maki i tłuszczu. Mama wracała bardzo zmęczona, z opuchniętymi nogami, występował też obrzęk na twarzy od stale schylonej pozycji w pracy, jak i upału. W domach zawsze pozostawał ktoś z ludzi starych bo w domach najczęściej mieszkali duże rodziny, teściowie z zamężnymi córkami i wnukami. Te babcie karmiły też z przygotowanymi przez Mamę posiłkami braci. Dziećmi pani Krynickiej opiekowała się Pani Mura. Nie było czasu na matczyne pieszczoty po pracy matki. Karmiły dzieci i kłali się spać.

Sianokosy były przyjemniejszym zajęciem. Zapach skoczonej trawy i w tym niezliczonych kwiatów był bardzo intensywny, aż do powstawania zawrotów. Zgrabywałyśmy po kosach i kosiarkach dużymi drewnianymi grabiami trawę w kpna. Inni drewnianymi druzębnyimi widkami kładli wysuszone siano na coś co trudno mi określić w nazwie. Był to gruby poprzeczny drąg do którego były przybite długie brzoźowe ulścione gałęzie, to ciągnęła para wołów. Na to kładło się kopny i ta podwoda podjeżdżała do stawianego przez mężczyzn stogu. Na kontrolę przyjeżdżał często brygadzieta w tak zwanym "chadkie" był to wóz płaski z żerdzi na którym stał nie wysoki z przodu otwarty jakgdyby kocz.

Była już pełnia lata. W niedzielę zrobiłyśmy z Mamusią inwentaryzację, rzeczy które były przywiezione z naszego kochanego kraju. Były tam książeczki PKO Mamusi, Tatusia i moja z wkładem 200zł. Kilka książek żeromskiego, kilka fotografii, moja książeczka do naborzeństwa. Tatusia cytra. Kilka arkuszy nut na cytrę. Segregowałyśmy co można sprzedać by zabezpieczyć się w żywność na zimę. Bielizna niszczyły się praha

w ostrym żugu, zwłaszcza ta jedwabna. Mamusia nie mogła przyzwyczaić się do nowego sposobu prania w korycie. Podpatrzyłam jak robi to gospodyni i zaczęłam w tym wyręczać Mamę. Nauczyłam się też już wielu czynności domowych. Zarabiałam i piekłam chleb. W dzieży lub korycie pozostawiało się zawsze rozczyn do następnego wypieku nazywano to "zakwaska" drożdzy przecież nie było. Do tej zakwaski wlewało się letnią wodę dosypywało trochę mąki. To zostawiało na noc, rano dodawało się mąkę i sól. Wyrośnięte formowało się w zamarszczony wieniec i piekło. Kiedy brakło chleba piekło się "korątki" było to ciasto bez drożdży, mąka, woda, sól. formowało się grubsze placki i piekło jak pyszki z drożdżowego ciasta. Gotować zaczęły jak tubylcy. Nic innego nie można było wykombinować. Gotowało się "kapsza" kluski na mleku lub wodzie, wtedy dodawało się tłuszcz. Zupę "szczy" składającą się z wafy, okraszy i soli kartofli. lub "borszcz" woda, sól kawałeczek mięsa i kapustą kiszoną. Rzadziej były kartofle. a jeszcze rzadziej bliny, czy zimą pilinieni, Zimą jadało się też kułagą. Były to suszone dzikie truskawki zalane wrzątkiem potem dodawało się niewielką ilość mąki, to lekko fermentowało po czasie, było kwasowate słodkawe. Właśnie podczas sianokosów w stepach w wysokiej trawie "kowył" były całe polany dzikiej truskawki. Kobiety i dzieci wychodziły wczesnym rankiem z wiadrem i kawałkiem chleba. Zbierało się do pełnego wiadra, Wiadro zresztą jak wszystkie ciężary kobiety nosiły ustawione na ramieniu. Wracając szło się do "rudnika" strumienia. Tam każda wrzucała swój chleb do nasiąknięcia i jadło się. Prócz tych truskawek zwanych "klubnikiem" była w górach "ziemlanika" poziomka, "Kościanika" owoc bardzo kwaśny na sztywnej gałązce owoc w kwadracie ułożony z małych pesteczek obciążniętych szarwoną błonką. No i w lesie rosły wiśnie. Były to krzaczki 20-25 cm. miały po kilka owoców, też kostka obciążnięta błonką. Potrawy nie mogły być urozmaicone. Z warzyw rosła tam tylko marchew, buraki i kakusta, cebula i czosnek, Kapustę co dziennie się podlewało, Na specjalnych zrobionych wysekich z nawozu grządkach, w wyżłobionych w tym kotlinach rosły ogórki. W doniczkach z puszek rosły papryki bardzo

bardzo ostre, zastępowały pieprz. Rosło też bardzo dużo grzybów białych zupełnie podobnych do rydza dużych, twardych. "Gruzdzie" zbierano to do beczek i solono, zimą podawano do ziemniaków. Zbierano też duże ilości szakwi z czego parzono codzienną herbatę. Jaja pieczono tu najczęściej w żarze albo gotując wodę w samowarze wkładało się niewyte jaja na szpile tak oparte gotowały się. Dziwnym było dla nas, że od najmniejszych po starszych ludzie żuli to czarną średniej twardości masę, o zapachu smoły. Sporządzano to poprzez odpowiednio preparowaną korę brzożową z której regiono też dziogiedz, do konserwacji obuwia, uprząży, kół do wozów i drzewa.

Zaczęto zbierać zboża. W pola wyszły kombajny, traktory, snopowiązałki. Na ścierniskach pozostawało ogromnie dużo kłosów. Nikt do tego nie przywiązywał żadnej wagi. Tylko my Polacy dziwiliśmy się temu ogromnemu marnotrawstwu. W pola pracowały całe rodziny. Tam gdzie nie było w rodzinie dzieci lub miał je kto przypilnować kobiety nie wracały na noc do wsi. Był wielki pośpiech. Zawerzone w sobotę do bani i zaraz rano wywerzone na cały tydzień w pole. Tworzono też sezonowe żłobki tak zwane "sadziki". Nie raz zdarzało się, że kobiety rodziły w polu. Rodząca zawijała dziecko w chustkę zdjętą z głowy, leżała w bruzdzie do wieczora i jechała z brygadzystem lub innym wozem. Wtedy kiedy musiały po coś jechać do wsi podwody.

Zaczęło się przygotowywanie drzewa na zimowy opał. Bracia też jeździli dwu kołową "tieleśką" pikowali i rąbali drzewo. Gospodarze pokrywali zniszczone nakrycia zagrody grubą warstwą słomy na to układali grube łąrdzie. Podsypywali, pod same okna domów ziemię by zabezpieczyć w ten sposób w zimie ciepło w mieszkaniach. Kołchoz rozwoził zapracowane ziarno, pszenicę. To było jedyne wynagrodzenie zapracę. Cieszyliśmy się że na jakiś czas nam starczy chleba. Bardzo baliśmy się zimy. Sybiracy bo tak siebie nazywali tubylcy opowiadali nam o zimie, o strasznych zamiesiach zamarzaniu ludzi i bydła. Zapytywali jak wy przeżyjecie. Niemacie "pinów" weźniane walonki, kożuchów ciepłych chust itd.

Mama po takich rozmowach gorzko płakała. Ale co miały powiedzieć matki z dwu, trzy czy cztero letnimi dziećmi? Myśmy byli już wyroznieni, nie płakaliśmy z braku mleka matki czy temu podobnych produktów. Byliśmy syści i to nam wystarczyło. Żyliśmy tylko w ciągłej trosce o to, o którym nic nie wiedzieliśmy. Nikt nas z kołchozników nie krzywił. Czasem wywołał Kłud jakąś matkę, ale nikt nie wiedział dlaczego o tym się nie mówiło. Czasem dzieci w zabawie, w kłótni przesywały "Polacki sob, czka".

Zima nadeszła tu jak zwykle bardzo szybko, już w październiku spadł obfity śnieg, zapałł tegi mróz. Już nie pracowaliśmy. Dni były bardzo krótkie, za to wieczory nieskorożenie długie. Bez elektryczności, radia, całkowicie odcięci od świata. Skna zamarały lodem. Zaczęły się tworzyć zaspy śnieżne, sięgały po dachy domów, a zimą i dach zasypywały. Rano w izbie było zimno. Nie raz w beczce zamarzała woda. Mama jak zwykle wstawała najwcześniej zapalała w piecu by ogrzać izbę. Popołudniami i wieczorami grupy Polaków schodziły się razem. Tam czytaliśmy listy, które nadchodziły z naszych stron, rozmowy toczyły się o zaginionych ojcach, wujach, braciach, o dawnych świetnych czasach. Kiedy byliśmy sami w domu Mama czytała nam książki, książki dla dorosłych to innych nie było. To były bardzo przyjemne wieczory.

Koło siódmego listopada - "Aktiabskoj" zaczęli przywozić do sklepu te "atrakcyjne" art. spożywcze towary, między innymi parę zegarów naciąganych na szyszki wiszące na łańcuszkach. Wnie w tym czasie wyznaczono już do pracy. W środku wsi była nieczynna cerkiew klub, a na okres magazynowania zboża magazyn. Ogromną drewnianą, ciążką szuflą przewracano rozłożone zboże suszone w ten sposób. Po kilku dniach przyjechały ciężarówki. Marysia Połowiec i ja ładowałyśmy tymi szuflami pszenicę do ciężkich zbitych z nieheblowanych desek skrzyn do których przybite były szerokie jeszcze z kora były tu uchwyty do podniesienia skrzyni. Skrzynia netto zboża miała 100kg. nie licząc wagi skrzyni. To ładowałyśmy przez burtę na samochody. Było to ponad

moje dziecięce siły, miałam wtedy tylko trzynaście lat. Moji kożchozni rówieśnicy uczyli się w tym czasie w ciepłych klasach. Mama przed moim wyjściem do pracy opasywała mnie szerokim parciowym pasem wokół brzucha, aby się nie podzwignęła. Było mi niewymownie ciężko doczekać się w pracy powrotu do domu, nie skarżyłam się jednak nigdy Mamie. Z początku nawet nie mówiłam, że dzwigam takie ciężary. Praca ta trwała kilka tygodni, przeniesiono nas do innych magazynów. Wtedy właśnie wiedziałam, że już nie jestem dzieckiem, że zrównano mnie w ciężkiej fizycznej pracy z dorosłymi.

Dni mimo chłodu nie miały zamieci, postanowiliśmy, młodzi pójść do wsi Imontaw leżącej od nas o 18 km. Wiosną tam zamieszkiwało znacznie więcej Polaków. Było tam bardzo dużo młodzieży polskiej. Młodzież tam już w lecie była dobrze zorganizowana. Starsi odemnie z Łobanowa chodzili tam już w letnie niedziele. Grano tam w siatkówkę, gry towarzyskie itp. Zawsze wracali w lepszych humorach. Tam zaprzyjaźniłam się z córką Komandora Marynarki Wojennej Izabellą Witkowską, nazywaną Złutką i Ireną Besser córką lekarza. Zaczęliśmy i w naszej wsi organizować młodzieżowe spotkania u nas, Połowców, i Andrusiewiczów. Zaprzyjaźniłam się bardzo z Janką Andrusiewicz i Marysią Połowiec.

Gospodarz nasz stał się niesympatyczny, nie pozwalał na przychodzenie Polaków. Zmieniliśmy mieszkanie do gospodarza Zinawiejewa. Mieszkanie zupełnie podobne, zresztą jak wszystkie tu w Łobanowie. Jak cenną zaporą w zawiejach okazał się ochronny pancierz z drzewa - zagroda przydająca się w śnieżnych burzach, a burze były coraz częstsze.

W "Aktiaberskuju" hulanki trwały cały tydzień, nie było prac polowych. Można było sobie pozwolić. Teraz masowo zabijano świnie. Mięso krojono w porcje, wrzucano do worków i na mróz, stały też worki pilimieni. Kożchoznicy jak i w I męży zapraszali nas do zabawy. Niestety nie było nam to w głowie. Biesiadnicy przechodzili tańcząc w śniegu i śpiewając do zaprzyjaźnionych domów. Gościna w domu trwała 2-3 godziny i szli do następnego domu. Nastrój był wspaniały wszędzie muzyka i śpiew, białe do

onki pokryte całkowicie śniegiem stwarzały jakgdyby śnieżny faliasty teren z którego gdzieś niegdyś wydobywała się ciemniejsza smuga dymu. Tabylecy byli tacy beztroscy.

W minionych miesiącach niemiecki żołnierski but deptał Europę. Wzosi wypowiedzieli wojnę Francji i Anglii, a my tu bez świeżych wiadomości, bez zapewnionego jutra, bez wiadomości o Ojcu.

Dni były coraz krótsze, coraz chłodniejsze, Już mało wychodziliśmy z domów. Mimo jednak tej aury odwiedzaliśmy się. Szukając pocieszenia wiadomości od bliskich. Mamusia napisała do Nimierowa do Dzia-
dzia Tatusia Ojca ale nie nadchodził żaden list. Od czasu do czasu ja ot-
rzymywałam list od Lili Niedzwiedzkiej z Pińska. Byliśmy bardzo, może
najbardziej zaprzyjaźnieni z dwoma rodzinami. Panią Krynicką i Panią
Sliżewską, oraz z Andrusiewiczami. Spotkania naszych rodzin miały stałe
niezmienny charakter. Wspominania przeszłości, troski i juto, i otym
którzy zabrani przez NKWD nie dawali znaku życia. Krążyła wokół polaków
przepowiednie z Księgi Sibilli. Mówiło się, że jeszcze Polska będzie od
morza do morza. Nigdy jednak w spotkaniach nie omijało się tematów ku-
linarnych. Mówiło się to było doskonale, a tamto wspaniale.

Matki nasze zaleknione były poważnie jak dzieci te mniej-
sze przetrwają zimę. Dzieci do lat 8-9 całą zimę nie wychodziły z domu.
A mnie kurczyło się serce, zaciskała krtani, wprowadzała w nieokreślony
stan myśli, co będzie jak ktoś z nas zachoruje? Przecież nie będzie
najmniejszej pomocy. A już najgorsze kiedy na myśl przyszło, że może ktoś
mi tak drogi tutaj umrzeć. Że trzeba będzie tu pozostawić w mroźnej
syberyjskiej ziemi ^{tego kogo się} ~~to się~~ tak bardzo kocha. Że nikt nie przyjdzie na
ten grób złożyć wiązanki kwiatów czy zapalić świeczki. Ta myśl stała mi
się obsesją. Wytrącała ze snu. Wtedy nie opuszczały te koszmarnie myśli
drażyły tak boleśnie. Zaczęłam spostrzegać pierwsze siwiejące włosy
bez przesady były to jednostki ale pokazały się. Nie był to odcinek
skroni ale gdzieś niegdzie widoczna srebrna nitteczka. Tak wyglądała
druga część mojego dzieciństwa, i zaczynającego się okresu młodości.

Jesienią tegoż 1940 roku zachorował poważnie wojtus Krynicki. Mimo ogromnej troski matki, która nie miała ukończonej medycyny wojtus zmarł. Rozpacz matki była straszna. Odprawialiśmy go wszyscy z wielkim bólem, odprowadzali też kołchoznicy. Trumna była zbita z niechlubowanej deski skrajnika. Pierwszy Polak w tej ziemi.

Bardzo Mama przeżyła tą śmierć. Napewno pomyślała, czy nie zostanie ktoś z jej dzieci w tej ziemi. Każdą wolną chwilę starała się być z panią Krynicką.

KKND- Narodnyj Komisarjat Wnutriennych Dziej, tak brzmiała ta nazwa coraz częściej nocami wywali nasze matki. Wypytywano o inne zamieszkałe w Łobanowie rodziny, mówiono, że wiezy o was to i tamto. Najczęściej jednak wywano panią Krynicką.

Kiedy zapadła zima, naskoczyło nas dziwne zjawisko,ające szaraki stały się śnieżno białe. Przyroda darzyła je barwami ochronnymi. Wiewiórki były tu pięknego kolorowego koloru. Lisy miały cudowną długą złotą szerszą. Były też zwierzątka podobne do lisów dużo mniejsze o zabarwieniu bardzo lekkiego beżu. tu zwane koroaki.

Zamieniliśmy w tym czasie mieszkanie do Antonowych, ale było trudno wytrzymać z gospodynią. Przenieśliśmy się wtedy do Bielowych w tym mieszkaniu było tysiące, tysiące bez przesady pluskw. Kiedy zachorowałam zawieszony przy żółtku w gornicy dywanik ruszał się doskonale w nocy z sufitu spadały pluskwy jak krople deszczu.

Gospodarz nauczył Józia zabijania psów, i nauczył go zrobić z tej skóry rękawice. O dżonie przed mrozem można było się nie bać. Rękawice te były bardzo ciepłe w nich się nie marzło.

Niektórzy uciekinierzy wojenni zaraz po przyjeździe do Łobanwa zaczęli budowy domków z gliny i odchodów bydłych formowało się po wymieszaniu tej masy nogami coś w rodzaju bloków pedsuszało i układało tak jak cegły, były na tym dachy również z darniny i ochraniane też. dwerem, dwa okienka i duży piec. Domki nazywały się "samanki"

Jeszcze nie było Syberyjskiej zimy. Zbliżona była do naszej,

polskiej. Kołchoznicy w kołchozskich jeździli saniami. Były to sanie do których mocowane były rozchodzące się jak skrzydła w szerokość łądź. też tak jak w chłokach, powózkach z trzech stron w niektórych był kosz, w nim bardzo gruba warstwa słomy zrównana z brzegiem kosza. Jeździli też nartami. Józia zaintrygowała ta jazda. Już dzieci nie pracowały więc zabrał się do konstrukcji nart. Sam zrobił narty, pomógł zrobić też Edziowi Andrusiewicz, z którym bardzo się przyjaźnił. Zaczęli jeździć do pobliskiego lasu podpatrywać tę zupełnie odmienną zwierzynę, a było jej dużo. Pewnego dnia znaleźli w wyniku zająca. Z pewnością zastawił wnyk ktoś z uciekinierów. Przynieśli zająca do domu. Miśco podzielił. Podpatrzyli dokładnie wnyk, i zaczęli nim zakłuży świat hurahany stawiając w pogodniejsze dni wnyki. Była to duża pomoc w naszym coraz skromniejszym wyżywieniu. Zrobili też narty Hubertowi, ale on zawsze taki delikatny nie chciał brać udziału w tym kłusowniczym polowaniu. Muszę dodać, że kiedy nasilały się mrozy. Chłopcy jadąc do lasu z braku obuwia nogi owijali silnie skórą psimi. Często gdy coś upolowali musieli pozostawić do zaroku w lesie by nie zdradzić się kłusownictwem. Ale Mama bardzo przeżywała te późne eskapady. Więc Józia wpadł na pomysł, że wyjeżdżali sankami na spód saneczek kładli zające i przykrywali je drzewem na opał. były już dwie korzydci.

Kołchoznice pracowały teraz w oberach, oczyszczając obory gnały bydło nad jezioro do wodopoju, zwozili z stepu siano. W tym też pracowali starsi polscy chłopcy. Gospodynie przychodziły zmęczone, rozdrażnione. Polacy wszyscy często zmieniali mieszkania. Żalowaliśmy że po dwie rodziny nie budowaliśmy za przykładem uciekinierów nam takie samanki. Polacy zamieszkiwać zaczęli nawet w tych małych "baniach" bo kołchoznice ze względu na opał chodzili do większych rodzin się myć gruntownie, w ich "baniach"

Niektóre rodziny wyczerpały już wszystko co można było sprzedać. Dorastający chłopcy - młodzież można powiedzieć mąska po pracy nie dostała sytego posiłku. Wszyscy ograniczali żywienie do maximum. Dzieciom było najtrudniej wytłumaczyć. Dlatego ukrada się głód

Zaczęły się zamiecie... z nimi, utrata wszelkiej nadziei na przetrwanie. Najczęściej odwiedzaliśmy panią Krynicką. Tam z dużo młodszą od nas Basią wspominaliśmy Bóże Narodzenie. Kiedy przyszedłam tam w drugiej połowie listopada nadeszła z kijowa paczka z suszonymi owocami do pani Krynickiej. Częstowała mnie nimi, ja wstrzymałam się, mówiąc ja już nie potrzebuje takich delicji. niemogę to dla Basi. Pani Krynicka dziwnie powiedziała jej to już nie będzie potrzebne. Zwróciłam na to zdanie uwagę dopiero po czasie.

Kiedys byłam znova w niedługim czasie. Pani Krynicka siedziała na pieńku drzewa przy otwartych drzwiczkach rozpalonego pieca i paliła fotografie, i jakieś papiery. Przeszłam z tą wiadomością do domu. Mama też to zdziwiła, fotografie tak cenne pamiątki. Nazajutrz przysłała pani krynicka do nas, Basia rozradowana, mówiła nam dzieciom, że była na wspaniałej sennie z mamą w lesie, że mama kładła ją pod brzośki i mówiła tak będziesz latała jak pójżniemy do Kojtusia. Opowiedzieliśmy to Mamusi. Mamusia innym Polkom. Przez następne dwa czy trzy dni, a był to już grudzień pani Krynicka często wyjeżdżała sankami z Basią pogoda sprzyjała nie było zamieci, a w takim czasie zawsze świeciło cudowne jasne słońce. Byli dobrze ubrani. Pani Krynicka miała wojskowe spaki oficerki długi podróśny kotuch też przywieziony z domu. Basi babcia z Kijowa przysłała kotuszek i walonki.

W niedługim czasie rano ktoś gwałtownie zastukał w okno. Rozpaczliwym głosem pani Młynarczyk zapytała, czy jest u was Basia Krynicka. Mama wystraszona odpowiedziała nie. Pani Maria oddalając się krzyknęła Krynicka powiesiła się, a Basia została u was. Biegła. Wybiegliśmy po chwili wszyscy z domu, do naszej izbuszki gdzie mieszkala pani Krynicka z panią Murą Moiszewską. Pani Krynicka wisiała na wojskowym paszku, kolana jej opierały się na porąbrynym drzewie, miała nadgaratki obandarcowane, obandałowane kolana. Widok był przerażający włosy zakrywały twarz.

Po pewnym czasie byli już wszyscy Polacy. pełno kołchozników nikt nie widział Basi. Czekało na milicję z sąsiedniej wsi. Milicjant

zarządził przeszkanie pobliskiego terenu, ponieważ zgłosił się z informacją starzec który widział już kilka krotnie panią Krynicką z Basią stojącą przy przereglach, bardzo zamydloną a Basia w tym czasie zjeżdżała z brzegu jeziora saneczkami. Widział też jak jeziorem ciągnęła saneczki z Basią na drugi brzeg jeziora. Kierowani tą informacją zwolniona z zajęć szkolnych młodzież na nartach wyjechała na poszukiwanie. Na skutym lodem jeziorze spostrzeżono plamki krwi. Szli już tym śladem. Na drugim brzegu jeziora spoczęli duże ilości krwi rozpryskanej w śniegu, dalej wydeptany zakrwawiony placzyk. W miejscu tym wskazywało, że śniegiem jest coś zasypane. Po rozkopaniu stwierdzili że tu musi być w pobliżu zamordowane dziecko. Rozkopując śnieg natrafili na zwłoki.

Basia leżała tam z niewyłożonym z serca nożem kuchennym, na cudownej jej twarzy czuła się anizka z obrazku tak była właśnie śliczna były ślady dużych siniaków. Napewno dziecko się broniło. Matka jak się później okazało, podciągała sobie tam przy dziecku tyły u rąk i pod kolanami, ale niska temperatura powodowała skrzep. Nie mogła tam skonać. Wróciła do wsi. Pani Murze powiedziała, że chciała popełnić samobójstwo ale nie miała siły, poprosiła by ją opatrzyć, ale nie iść po Basię którą zostawiła u nas. Pani Mura widząc przywiezioną Basię dostała szoku. Od tego dnia do końca naszej bytności w Łobanowie. Prawie nie rozmawiała. Rano wychodziła z domu do nas. Siedziała na ławce i tak siedziała do zapadającej ciemności.

Kołochońscy byli wstrząśnięci i oburzeni. Przecież mogła dziecko zostawić wychowałibyśmy ją taką krasawicę. Myślimy rozumieli ten fakt inaczej, nie chciała pozostawić dziecka na tak bardzo niepewne jutro na tulańską w domach dziecka. Pogrzeb był ciężki, rozkopany Wojtusia grub przyjął jeszcze dwie takie same surowe trumny. Zagrzebaniu tych zwłok przez spadające zmarznięte duże grudy ziemi towarzyszył jęk Polonii i płacz tutejszej ludności. Spoczęli po krótkich trudach tego zesłania, mieli pomoc z Kijowa, dobrą odzież, ale utrata przez zastrzelenie w Pińsku przez wysłolicieli matkę, pochowanie w tej ziemi

synka i żadna szansa przetrwania zlaną to życie.

Cała Polonia nie mogła otrząsnąć się z tej tragedii. Wieczory stały się milczące, brakła nafty. W wydrążonym dużym ziemiaku Mama wlewała benzynę, i sól. robiła z jakiegoś gałganka knot, zapalała to służyło za oświetlenie izby. Już we wsi było coraz więcej invalidów wojennych to oni podali tam pożywną oświetlenie. Mamusia przy tym reperowała skarpety, pończochy i już nieraz coś z odziei.

Janka Andrusiewicz któregoś dnia poczuła narastający ból zęba w niedługim czasie twarz z opuchnięciem potwornie została wykrajwiona. Poszli do falczera, niemógł nic pomóc. Po trzecim dniu była już zupełnie wyczerpany Brat jej Ryszard 19 letni. Zaczął szukać możliwości do dostania się do lekarza w rejonie, ale kołchoznicy powiedzieli tylko do Kokczetawa tu nie nie pomogą. Po pytaniu ich piny korzuchy, kołchoz dał samie i woźnicę. Pojechali było to 60 km. Zima. Nie było ich ponad tysiąc. Śniegi utrudniały jazdę. Janka pomoc otrzymała ale bardzo wróciła słaba i zalieniona.

Pani Słizewska od chwili wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej dorabiała sobie wróceniem. Kobiety z "Godeńcem" przychodziły dowiedzieć się o swoich frontowców, przynosili mleko, jaja, tłuszcz a zimą nawet kawaleczek mięsa. To bardzo pomagało w przetrwaniu.

Pani Tylkowska trochę czyta. Życie było raczej przeróbkami nie wymagało dużych umiejętności. Kiedy szukał możliwości zabezpieczenia przed głodem. Kołchoznicy wysokie cenili teraz pszenicę. też nie nie otrzymali za ostateczną pracę. Mieli duże zapasy jak opowiadali w 1938 i 1939r były ogromne urodzaje. Pszenicę za pracę czy kołchoznik chciał czy nie podjeżdżały podwozy wysypywały ziarno przed dom bo kołchoz nie miał gdzie magazynować. Przy tym padło dużo krów bo obiadali się latącą tygodniami przed zagrodą pszenicą. Kołchoznicy też nie mieli jej gdzie przechować. Nie przewidziane były następne urodzaje bez sprzętu zmechanizowanego więc ceny wzrastał. Było to naszym nieszczęściem. Ale Mamusia powtarzała często słowa "Da Pan Bóg dzień do i radę."

Przyszło Boże Narodzenie. Najcudowniejsze święto mojego dzieciństwa. Jakże smutne tu na obczyźnie bez Ojca. Wigilia była dość tradycyjna. Baraneczka, pierogi, ryba i chleb, którym dzieliliśmy się jak opłatkiem. Cieszyliśmy się wśród niezmierzonych żez, że mamy przy sobie chociaż Matkę. Przecież tyle dzieci represje stalinowskie oderwały od rodziców. Umieszczonych w sowieckich domach dziecka, wychowywanych w duchu ateistycznym bez religijnych świąt. Rozrzuconych po niezmierzonym terytorium ZSSR. Tu w naszej wsi wszystkie dzieci miały matki, ale i wszystkie nie miały ojców. Byliśmy syci, a myśli kierowały się czy nasi Ojcowie nie giną z głodu. Tu Sybiracy opowiadali nam jakie są stalinowskie zagry, że napewno tam zostali osadzeni nasi ojcowie, dziadkowie, synowie i bracia.

Zastanawiałam się nieraz czym różniła się "zsyłka" Polaków za cara? Te same tereny zsyłek, te same potężne wyroki. Te same transporty tylko z upływem czasu i wprowadzeniem techniki odbyły się pociągami nie kibitkami na tych samych trasach. Ludność tutejsza wywodziła się w większości z zesłańców caratu i tuż po rewolucji, Dlatego umieli nam tak głęboko współczuć.

Zaraz po Nowym Roku NKWD zawiadomiło nas o dniu i godzinie stawienia się w sielsowiecie celem zameldowania się, nie dokonano tego do tej pory. Byliśmy tak zwanymi "specpiereśiedlencami" z zabronieniem opuszczenia wsi nawet na kilka godzin. Tylko młodzież wyrwała się do Imontawu bo siedziba NKWD była daleko w Aryk-Bałyku. Poszliśmy przyjechał sam naczelnik NKWD Szwedcow. Przyniósł każdy z osobna wypełniony odpowiednio formularze. Głośnym już było w okolicy, że kiedy Szwedcow przeprowadzał tę akcję w Imontawie, zesłany tam polski Żyd, bardzo ostro protestował kiedy naczelnik kazał mu wpisać Żyd w narodowość uparł się do końca, że jest Polakiem a wyznania żydowskiego. W naszej wsi chciał podać się za białorusinów Henryk Gutkowski. Wszystkie matki niemal rzuciły się na niego jak na kota. Wpisał, że jest Polakiem. Tylko pani Tamara Krasnoszczekowa podała się za rosjankę, bardzo boleśnie z czasem to przeży-

ła. Heniek Gutkowski długo do nas nie przychodził bo pierwsza Mama zaczęła mu wymyślać. Paszporty z obywatelstwem radzieckim zostały nam wydane. Naczelnik zapytał Mamusię dlaczego dzieci nie chodzą do szkoły. Przecież córka by nie pracowała. Mama na to powiedziała, wczym ma chodzić do szkoły i z czego mielibyśmy się utrzymać przy życiu. Więcej nie pytał.

W ciągu tej zimy Mama bardzo dużo sprzedawała naszych rzeczy. Mama bardzo martwiła się o moje zdrowie, musiałam chodzić do pracy. przy wianiu przenicy do siewu, a przecież w kraju byłam wiecznie z lekarzem za pan brat "Mimo bardzo nieodpowiedniej odzieży i obuwia nie chorowałam. W lutym i połowie marca prawie wszystkie prace ustały. Zima była potężna, wychodziło się z domu tylko powodem do pobliskich, co dziennie kilofem poszerzanej z lodu studni. Wyciągane na linie wiadra z wodą rozlewały się na boki zawężając natychmiast wlot do wody. W domu pomagaliśmy gospodarzom, to rąbać tytoń, bracia rombali drzewo, robiliśmy też gospodyni pończochy, skarpety i rękawice na drurach. Kleiliśmy setki pierożków. Huragany śnieżne były potworne, trwały nawet do 10 dni. Nie widziało się w zamieci sąsiedniego domu, ale w izbuszkach było ciepło. Tylko wieczorami było tak niewymownie smutno z powodu braku ojca i tęsknoty za Ojczyzną. Tej zimy w zamieć "buran" wyszłam z Hubertem powodem do pobliskiej studni. Nim doszliśmy do studni, a już spostrzegłam że z policzków brata stały się dwa wypukłe białe grzyby, a trwało to tylko kilka minut. Nabraliśmy w pośpiechu wodę. Płakałam bardzo się przestraszyłam, widziałam to poraz pierwszy. Gospodarz zaraz zabrał brata na dwór, w zagrodzie nacierał mu bardzo długo policzki śniegiem aż do normalnego wyglądu. Od tego czasu zawsze nos i policzki zaskanialiśmy szalikiem.

Zbliżała się już tak upragniona wiosna. W śnieżnych tunełach pojawiły się szybko płynące struszkki wody, stwarzające strumyki. To było błyskawiczne. Gdzie zniknął śnieg, już było widać piękną zieloną trawkę. Chyba nigdzie tak jak na Syberii widać te cudowne budzenie się wiosny, i budzenie się z długiego snu przyrody. Nie sposób też wyrazić

radości opanowującej człowieka, że przeżyliśmy wszyscy tak koszmarną zimę. Jak gorąco w tym czasie potrafiłam się modlić do Boga, za życie tak ciężkiego czasu, bo wydawało nam się wtedy, że już ciężiej nie może być. Wszyscy Polacy modlili się tam bardzo żarliwie o swoje o powrót do Kraju. W oka mgnieniu w pobliskim lasku mimo śniegu między brzożami seledynowiaki rozchylane się paki listków. Sybiracy nacinali korę brzożową, podstawiali naczynia, i zapijali się tym brzożowym sokiem. Przed Wielkanocą bez listu, napewno zatrzymany przez NKWD nadeszła od cioci Tali żywnościowa paczka. Zawartością jej była mąka i tłuszcz jakże nam potrzebne. Była to dla nas niewymowna pomoc.

Wieś nie miała drzew jedynie w jednym przydomowym ogrodzie rósł krzak brzo, chodziłam tam często tak bardzo przypominał mi ojczysty kraj. Zakwitł cudownie ale skompym małym kwieciami.

Znów zaczynała się praca w polach. Młodzież tamtejsza zaczęła nas wciągać w swoje zabawy. Powstały przyjaźnie. Zaprzyjaźniłam się z dziewczyną Katią Bajsałową i Tonią Niczypurczyk. Wciągnęły mnie i Marysię Połowiec do wspólnego śpiewania przed domem. A śpiewy te mimo chłodnych jeszcze nocy ciągnęły się do późnych godzin po pracy. Byłam tam lubiana przez starszych i młodzież. Cenili wysoko moją pracowitość nie ustępowałam wytrawnym starszym pracownikom. Moje rówieśniczki często mówiły do mnie: Waliczka /bo tak mnie nazywano/ kakaja ty nieznajna uśmiechnij się. Ożywiły się też z ciepłem kontakty z Polakami.

Kiedys w wiosenną niedzielę poszliśmy całą grupą do pobliskiego brzożowego lasu. Pełnego uroku w sejf delikatności drzew. Na jednym z drzew zobaczyłam wyryte w korze moje imię. Więcej nikogo o tym imieniu we wsi nie było. Nie mogłam się domyśleć kto był autorem. Do wsi zaczęło z wiosną przyjeżdżać kino objazdowe. Poszliśmy tam pierwszy raz. Pamiętam jak dziś był film. "Rezanskiye Baby" Film o stachanowcach kobietach. Film wyświetlano w cerkwi-klubie, widzowie stali. Operatorem był Kirgiz. W krótkim czasie, kino przyjechało znowu. Poszliśmy bo filmy były bezpłatne płacił za nie klub. Kirgiz operatora podał przez kogoś

60

kartkę z banalnymi, mikosnymi frazesami prośba o spotkanie. Zaczęła się dyskusja co zrobić. Ustaliliśmy nie reagować. Kartka była raz jeszcze też od odpowiedzi. Imię moje spostrzegłam po jakimś czasie wyryte na pobliskim płocie. Nie mogłam jednak domyślić się kto. Tak czuliśmy się wszyscy zbratani, bez jakichś wyróżnień.

Wielkanoc była bardzo smutna. Życzyliśmy sobie jak i w Boże Narodzenie odnalezienia bliskich i powrotu do Ojczyzny. Nie było smażeń i pieczonych mięs, były tylko jajka i chleb. Mieszkańcy naszej wsi obchodzili wszystkie święta religijne łącznie z młodzieżą. Święta ich wypadały zawsze według kalendarza prawosławnego o 14 dni później. Toteż podczas ich świąt malowali jaja, piekli ozdobne ciasta. "Paschę" było to ciasto pieczone w wysokim naczyniu przypominające babkę. Przed domami grane w jajka, w wytrzymałość skorupki i pchnięciem jajka do dołka. Gospodynie przygotowywały w miseczkę kolorowe jaja, placki, bliny. Zawiazywały to w chusteczkę i szły z tym na groby, swoich bliskich. Tam podawali sobie wzajemnie mówiąc "Pomienicie Sieroz, albo Maryju." Wspomijcie Sierozę albo wymieniali inne imię. Szły na cmentarz całe rodziny. Byliśmy i w ubiegłym roku na tej uroczystości. Podawano nam wtedy ciekące masłem bliny, jaja, szaniuszki itp. Chowaliśmy to z obrzydzeniem w wysoką trawę, żeby ich nie ranić. Już w tym roku. Szliśmy z zadowoleniem, że zjemy przysmak. Mimo zniszczenia wszystkich okolicznych cerkiew. Zmarłemu od urodzenia do sędziwej starości nakładano na szmureczku krzyżyk. Przy zmarłym i podczas odprowadzania zwłok na cmentarz przyjęte było tak tam zwane "wopieka". Polegało to na tym, że bliscy matka, czy żona płaczącym głosem zawodziła, było to wyrazem jej wielkiego bólu. Wołała "coś ja teraz bez ciebie mój Aleksandrze zrobię itp./Brały ze sobą na cmentarz też coś z potraw i wypieków dla poczęstunku i prośmy o modlitwę za zmarłego.

Znów zbliżał się wyczekiwany czerwiec- jagodowa słodycz. Słodycz której nam tak bardzo brakowało. Braliśmy już mniejszą kromkę

42

chleba by zanurzyć ją wracając ze zbioru jagód do domu w najsmaczniejszej źródlanej wodzie jaką kiedykolwiek piłam. Delicję było rozetrzeć w domu jagody i zalać je mlekiem nawet tylko paroma łyżkami. Jadło to się zamiast kolacji z kawałeczkiem chleba. Właśnie pewnego czwartkowego dnia po powrocie z jagód Mamusia powiedziała. Idź na pocztę trzeba odebrać list polecony. Był to list od Lilki Niedzwieckiej. Zdziwiłam się dlaczego polecony? Zaraz otworzyłam. Nie mogłam czytać przez zalane oczkami. W liście Lilka podawała adres naszego Ojca. Zostały wysłuchane przez Boga nasze nieustające błagania. Nie deczytał listu, biegłam, napełwno już nigdy w życiu tak szybko nie pobiegłam, spełniły się przycież marzenia i modłów żanoszonych w intencji odnalezienia Ojca przez 15 miesięcy. Nie można było wyobrazić sobie większego szczęścia. Nim weszłam do domu krzyczałam z ulicy mam adres Tatusia. W domu szaleńcza radość. Zaraz cała czwórka napisała do Tatusia list. Tata przebywał w "łagrze" Koło Nowosiberska, Marjańsku obóz Jaja. Wiadomość jak błyskawica przeszła przez wieś. Polacy biegli chcąc potwierdzenia czy naprawdę odnaleźliśmy Ojca. Reakcje były różne. Radość połączona z ogromnym bólem, że to nie oni odnaleźli swego bliskiego. A myśmy modlili się wieczorem, tak żarliwie za okazaną nam przez Boga łaskę.

W niespełna tydzień poczta przyniosła nam list od Ojca. Miało prawo, jak pisał wysłać jeden list miesięcznie. Pisał na nasz adres domowy. Więźniowie którzy dzielili z Ojcem cele, a trafili tam po 23 marca 1940r. Opowiadali Tatusiowi, że widzieli braci. To wprowadziło w błąd. Nasze milczenie na listy. Pokierowało go po kilku miesiącach, aby napisać do pana Niedzwieckiego z tą przysłany nam adres. Wysłali nasz adres Tatusiowi, a nam adres Tatusia. Tak zrządził los w naszym odnalezieniu się. List Tatusia był krótki. Pełen lęku o nas, zawierał błagalną prośbę o szczere opisanie naszych warunków. O sobie nie pisał wiele, tyle, że jest zdrowy i pracuje. Był to dzień przepełniony szczęściem, że faktycznie Tatus żyje, że może Bóg też dopomoże, że Ojciec będzie z nami.

Następny list przyprowadził nas w rozpacz. Ojciec napisał,

64

że został skazany na osiem lat pobawienia wolności z paragrafu 58
"Socjalnie opasnyj aliment" Powróciła gorycz, rozpacz i beznadziejność.
Czy przetrwa te osiem lat? Jakże ma tam warunki bo nie wspomina?

W lasach znów zaczęły dojrzewać wisienki, kościanika. Pokazała się ogromna ilość prawdziwków. Kołchoznicy tego nie zbierali uważali ten grzyb za trujący. Starzy ludzie obserwując prawdziwki przepowiedali wojnę. Grzydzie, białe grzyby kołchoznicy wozili nawet wózkami. Z imentawa przychodziła młodzież bo od nich lasy były daleko. Rodziło się też dużo chłopców. Też na to starcy wróżyli wojnę.

Nieczekaliśmy długo 22 czerwca 1941 roku jak huragan runęła na wieś mobilizacja. Wojska niemieckie wkroczyły na teren ZSSR. Uczucie wszystkich Polaków było mieszane. Radość, że i im się da we znaki, i żal. Przeżyliśmy już mobilizację we wrześniu 1939 roku ale chyba przewyższała radość za naszą rozłąką z bliskimi, za nasze zesłanie. Ta mobilizacja była jednak inna. Rozdzierająca i nasze serca po chwili. Niemal w każdym domu słyszało się głośne kilku osobowe zawodzenia. Z każdego domu w błyskawicznym tempie odchodzili, mężowie i synowie. Były domy, że odchodziło po trzy osoby. naraz. Rozpacz matek, żon, sióstr podziąkała na nas ogromnie przecież odchodzili ludzie nam życzliwi, często pomocni. Na plac pędzały całe rodziny, starcy i matki z niemowlętami na ręku. Tam oczekiwały podwozy. Powożeni na podwozy wrzucali z lnianego płótna wężełki Stali z płaczącymi rodzinami, stali tam też wszyscy Polacy. Ruszyły podwozy płacz, lament, zawodzenia prawie nie ludzkie. "Ach kiedy mój synku ja ciebie zobacz" itp. Kobiety rzucały się na ziemię, podnoszono je podtrzymywano, Polacy też serdecznie płakali. Ten zmieszany tłum szedł przez kilka kilometrów za wsią. Padła komenda, podwozy zatrzymały się. Wojskowi podali komendę siadania na podwozy. To nie do opisania jak matki klękały przed synami całując im ręce i nogi. Niektóre nie można było oderwać od bioder synów czy mężów. Łaczyliśmy się z ich bólem. Nie krzywdzili nas, pouczali jak żyć. To nie była ich wina, że zostaliśmy tu zesłani.

Wieś okryła się żałobą. Nie było nigdzie słychać towarzyszącego na każdym kroku śpiewu i muzyki. Kobiety do prac polowych jechały

44

65
pograżone w milczeniu. Ta pełna życia wieś zamarła. Co parę dni następnych powoływano ale były to już jednostki. Zaczęto też po parę osób brać do "trud armii" tych niezdolnych do służby liniowej, przeważnie brano ich do kopalń Karagandy. Brano też do Trud armii młode bezdzietne kobiety. W kołchozie po zaledwie kilku tygodniach widziało się tylko starców, kobiety i dzieci. Nie długo czekali mieszkańcy wsi na nowe piorunujące uderzenia. Pierwsze "pochoronne" były to zawiadomienia, że poległ na polu chwały dla ZSSR. Całe wsi biegły do tej chaty gdzie zajrzała frontowa śmierć. Kobiety siadywały na ziemi i wspólnie zawodziły. Pierwsza żołnierska wdowa, a potem przychodziły inne wdowy było coraz więcej w naszej wsi. Niemal codziennie przychodziły zawiadomienia.

Drugie sianokosy i żniwa były bardzo trudne. Pracowały tylko kobiety, dzieci i starcy. Odrazu znikły traktory. Plony zbóż były gorsze, tylko wspaniałe obrodziły ziemniaki. Mamusia coś sprzedawała na ziemniaki. Było to wiaderko orzechów nie ziemniaków niektóre jak orzeszek laskowy. Dano nam kawałek z kołchozu na zasianie. Jedliśmy od czasu możliwości podbierania kartofli pod krzakami do jesieni i zebraliśmy 50 wiader. Ziemia tak doskonała nie znała nigdy naturalnych ani chemicznych nawozów. Kołchoznicy wstrząsali się z obrzydzeniem, że u nas stosowano obornik. Jak to jessć mawiali. Kołchoz nasz nie wypełnił planu wobec państwa, tym samym wszyscy pracowaliśmy za darmo. Zapowiadała się głodny zima.

Tatusz pisał co miesiąc, był to jedyny list przychodzący do Polaków. A nam był tak bardzo drogi. Mamusia coraz mniej mogła pracować bardzo puchła tego lata. Już w żniwa zabrano Huberta i Józia do pracy w polu. Na łydkach powstały niegojące się rany. Nie pozwalaliśmy Mamusi na prace domowe. dzieliliśmy ją między siebie. Chłopcy mieli znów poważne zadanie zabezpieczenie nas w opał na zimę. Kołchoźnice drzewo z lasu wywoziły krowami. Zaczęli przyjeżdżać pierwsi uciekinierzy. "bieżnicy" z M.,ńska, Odessy Leningradu, Charkowa. Były to też same kobiety i

45

64

dzieci. Ludzie inteligentniejsi niż nasi kołchoznicy. Uciekinierzy jednak szybko opuszczali Łobanow, szukali lepszych możliwości bytowania a przecież mieli do tego prawa, nie to co my. Byliśmy bez wyboru. Prosto specpirisielency. Każą pracować pracujemy. Hubertek liczył 11 lat Józio 12-cie a pracowali już w tym roku na równi z starcami i kobietami. Tu nie dawano "pajka" a wolni uciekinierzy szli tam gdzie był zagwarantowany.

Niemal wszystkie domy miały "kratirantów" Wczuwaliśmy się w ich położenie. Musieli tak jak i my opuścić swój dorobek życiowy. Uciekinierów nie zmuszano do pracy w kołchozie. Natomiast mnie i braciom nie wolno już było wracać do domu wieczorem. Manusia wracała, ale nie zawsze trafiała na dzień następny do naszej brygady tylko innej. W pole musiały wyjść też dzieci kołchoznic nawet 8-9 letnie z tym, że one poganiali woły siedząc na ich grzbietach. Obuwie nasze w tych warunkach zniszczone było kompletnie podwiązywaliśmy je sznurkami. Nie było najmniejszych szans na nowe.

W tym czasie mieliśmy już śmętny pogrzeb. Zmarła wnuczka kompozytera Piotra Czajkowskiego staruszka Katarzyna Czajkowska - arystokratka. Kiedyś pokazała mi dyplom Piotrogradskiego Konserwatorium Muzycznego. Jej dwie córki pp. Podgorna i Czajkowska były aresztowane jeszcze w Pińsku. Staruszka pozostawiła w Łobanowie wnuczkę Małą Podgorną. Tę śmierć nie przeżyliśmy już tak tragicznie. Wnuczka dorosła w 1940r miała składać maturę. Tylko było przykre, że coraz więcej pochłania Polaków ta zimna ziemia. Każdy pogrzeb kogoś z Poloni przyniósł bardzo nasze biedne matki. Młodość ma te prawa, że szybciej przemijają bolesne chwile, może ten wiek nie przyjmował jeszcze tragedii życiowych.

W tym czasie Generał Władysław Sikorski rozpoczął pertraktacje z rządem stalinowskim. Podpisali porozumienie było tam: Otworzenie przedstawicielstw Ambasady Polskiej, w wielu miastach rozrzuconych po Związku Radzieckim, pomoc materialna rodzinom znajdującym się na tym

46

terenie. poprzez lokalne przedstawicielstwa ambasad. Do nas pomoc nie nadchodziła, był to przecież daleko położony od miasta kołchoz "zabity deskami" Wiedzieliśmy już, że pomoc ZSSR użyczono Polsce 100 mil. rubli. Z ogromnym opóźnieniem docierały do nas wszystkie tak cenne dla każdego z nas wiadomości. W kołchozie otrzymywano gazetę "Kołchoznaja Prawda" gdzie dominowały informacje o przybiegach prac kołchozu naszego rejonu. Totek z dużym opóźnieniem dotarła wiadomość, że Gen. Sikorski podpisał 31 lipca 1941 umowę o amnestii więźniów polskich, jeńców i zesłańców. Zaczęła występować w nas otucha. Powstały Przedstawicielstwa Polskich Ambasad, placówek tych powstało 20 w następujących miastach: Akmolinsk, Pietropawłowsk, Pawłodar, Archangielsk, Cekałow, Kirov, Syktykwar, Czeliabinsk, Kustanaj, Barnauk, Nowosybirsk, Krasnojarsk, Aldan Jakucki, Czajknet, Siemipalatinsk, Władywostok, Alma-Ata, Samarkanda, Aszchabat. Wymienione miasta jakże jasnowo uwiadamiają na jak ogromny obszar "rozsypane" Polaków, jak może być odnaleźć swich bliskich? Jedyne cud Bóg mógł tego dokonać.

Do Łebanowa nie mieli przekonania uciekinierzy, odjeżdżali nawet ci, którzy z takim trudem jesienią budowali samanki. Polacy zaczęli do opustoszałych wprowadzać się. Loni i nasza Mama postanowiły zająć też jedną samankę. Wprowadziliśmy się tam. Chłopcy po dwu ścianach izby nad dołem mającym służyć za piwnicę, zrobili pryzce. Na jednej z nich spał Lonia z Mamą, na drugiej Mama z braćmi. Ja otrzymałam na legowisko stół. Który stał na środku izby na nim wisiało naczynko, nasz kaganek. Kilka krotnie pryzce rozpadały się śpiący wpadali do dołu. Wyposażenie izby było tak prymitywne, że dziś myślę jak można było tak być.

W tym czasie też zaczęły się wędrowności Polaków. Prosto uciekali z wyrabu taj, z pracy w kopalniach szkła i węgla i innych katorżniczych prac. Szukając lepszego jutra trafili i do nas. Zamieszkali w opustoszałych samankach. U nas pozostały następujące rodziny. Buraczynscy, Nieboraczek, Cyliwik, Michalscy.

Jak dobrze było nam w samance w wolne od pracy wieczory spo-

szad było można młodzież, Lonia zawsze zapraszał mnie do zajęcia z nim razem małego kufereka przy ich różku. Graliśmy tam w gry jak: zepsuty telefon, fanty itp. słuchaliśmy ciekawych opowiadań pani Sliżewskiej z okresu rewolucji która zasatała ją w Odessie. Kuferek stał w oparciu o ścianę. pewnego dnia poczułam bardzo lekkie dotknięcie mnie w pód przez Lonię. Nie wiedziałam jak zareagować. Lubiła bardzo Lonię, okazywał mi zawsze pomoc w pracach, czasem nawet oczekiwałam jego przyjścia, poprostu to uczucie było mi nie znane. Leciutko usunęłam się ale po chwili uczułam ten sam dotyk. Nie bronikałam już się siedziałam bez ruchu. Potym było to już normalnym objawem. Ale nie było żadnych słów wyznania.

W brygadzie w tym czasie pracował zenną chłopak z Mińska bardzo przystojny. Wszystkie dziewczęta z kołchozu narzucały się mu. On często mnie "zagadywał" Wiedź wiedziała o tym, że był to syn CZEKISTY. Pewnego dnia podał mi kartkę na wozie kiedy jechałam do domu. List był oszałamiający pełen wyznań. Zaraz pobiegłam do Marysi i wywołałam Jankę przeczytały ten list, Zaniemówiły Arkadi, Wanda co za szczęście ciebie spotkało. Namawiały na odpowiedź. List zostawiłam jednak u Janki na przechowanie, List ten chciałam zostawić na pamiątkę, wyśledziłam napewno już takiego listu w życiu nie otrzymam. Już po zniwach częściej byłam w domu i z koleżankami uzgodniłam, że list ten wszyjemy do mojego płaszcza. Podczas wszywania przez Marysię weszła Zocha. Słyszela z intryg i plotkarstwa. Zaraz doniosła to Loni i mojej Mamie. Mama przyszła do domu i natychmiast wypróba list. Zawołała Lonię który czytał po rosyjsku płynnie List przeczytał. Mama list porwała i powiedziała, że ten chłopak niema prawa więcej przychodzić na nasze zabawowe spotkania. Od tej pory unikałam Arkadięgo. ale i no wyjeżdżając przyszedł pożegnać się z nami byli wszyscy młodzi Polacy. Zegnając się zenną dał mi Miński adres, powiedział zaraz po wojnie cię odnajdę i wywiozę z tąd. A Lonia był mi coraz bliższy i wiedziałam, że i ja jestem mu bliska.

Te młodzieńcze uczucia nie przyszkaniały jednak trosk, oczekiwanie czy wróci ojciec spędzało sen z oczu. Lonia nic nie wiedział o ojcu. Ale byli przekonani, że został rozstrzelany bo przed rewolucją był

komendantem odeskiej policji.

Kiedy przez naszą wieś przeszedł do Imontawa pierwszy zwolniony amnestią Żyd. Oteczyli go wszyscy Polacy którzy nie byli w pracy. Każdy pytał czy nie spotkał matę, ojca, brata. Nic o nikim nie wiedział.

Pierwszy zupełnie nie oczekiwany przyszedł z Zagru dziadek Marysi. Połowiec był wójt, Staruszek ledwie kroczył szedł jak i ten poprzedni więził od Kokczetawu pieszo. Też o nikim nie wiedział ale jak można było wiedzieć skoro na już wspomnianym obszarze było tysiące tysięcy Żagrów. Po nim przyszedł ojciec Marysi. Ktoś poinformował że Pińsk osiedlano w kokczetawskim. Szukali.

Pewnego wieczora kiedy miałam zdmuchnąć kaganek "powróżyłam". Powiedziała głośno, Jak za pierwszym dmuchnięciem zgaśnie jutro przyjdzie Tatusi.

Wyszłam rano do pracy kopaliśmy kartofle kołchozu tuż za wsią. Lonia z braćmi pojechał po drzewo na zimowy opał. W pracy co jakiś czas spoglądałam czy ktoś nie biegnie do mnie z wiadomością, niestety.

Zmęczona zniechęcona kładłam się spać. Późną nocą ktoś zapukał do okienka, wszyscy poderwaliśmy. Trwoga. Człowiek pukający powiedział: Marusia/tak tu nazywano Mamę/ przywitajcie się. Wyskoczyłam z pościeli. Spałam w tej sukience w której chodziłam w dzień, Wybiegłam z izby. Usłyszałam przeciągły wyraz - Wandus. Przedemną stał z workiem na plecach w łachmanach, skurczony staruszek - Mój Ociec. W izbuszce wszyscy już stali w oczekiwaniu. Kiedy wszedł Kołchoznik odszedł. Przez moment napewno z oszołomienia, wszyscy stali. Kiedy witała się Mama z Ojcem Kołchoznie drgały im ze szlochów plecy. Podeszedł Hucio, a Józio stał nadal jak skamieniały. Nie oczekiwaliśmy aż takiej ruiny z naszego Ojca. Pamiętaliśmy go zawsze w eleganckim mundurze, co dziennie zmienianą koszulą, elegancką teczką skórzyną z monogramem, albo w pięknych ubraniach z laseczką o główce dużego orzecha z kości słoniowej, ze szpilką z brylantem w krawacie, a stał przed nami. Mały pochylony, obdarty, z woreczkiem na plecach, z zafalewaną jak firana skórą na twarzy.

Nie kładliśmy już się spać. Mama coś podała Tatusiowi do

zjedzenia i zaczęły się opowiadania. Opowiedzieliśmy jak i kiedy nas zabrano jak więziono, jak byliśmy dotąd w łobanowie. Ale już o świecie kiedy kołchoznice zaczęły wyprowadzać bydło na pastwisko, wieś rozgrzmiała, wrócił Bielej Marusi mąż /białą Marusia nazywaną Mamę na jej karnację i delikatne rysy/ Okoliczni sąsiedzi zaczęli przynosić, aleko 2 jajeczka, jakiś kawałek kołasa, parę kartofli itp. oddawali to przeważnie anie mówiąc: Eto waszemu papio. Zaczęli też biec nie idąc Polacy. Kto mógł nie poszedł do pracy, Izbuszka nasza była przepełniona, a Sybiracy wciąż nawet oddaleni od naszej izby sporo, przychodzili z gościncem i powitaniem. Jak można by zapomnieć ten gest, tych ludzi nam tak łyczliwych, dobrych. Koło południa izbuszka pękała w szwach. Już powiedzieliśmy Tatusiowi, że z jego rzeczy przynieśliśmy cytrę. Tatus poprosił w pewnym momencie żeby mu ją podano. Otworzył pokrowiec, chwilę zadumał się i tak bardzo drżącymi rękami zagrał JESZCZE POLSKIM NIE ZGINAŁA, Tego co się stało nie da się opisać. Z każdej piersi wydobywał się nieludzki jęk i szloch. Na wyrażenie tego zabrakło mi słów.

Kiedy Polacy już się rozeszli zaleszczą. Tatus był potwornie zapchany, po nakarmieniu ułożyliśmy te szczątki człowiecze spać. Przed aresztowaniem Ojciec ważył 102 kg. po powrocie 48 kg. miał wzrost 170, cm.

Rano wszyscy musieliśmy już powrócić do pracy. Za to wieczorem przez kilka dni samanka nasza była przepełniona Polakami śledzonymi w Ojca przejścia, każdy miał obraz co przeszedł ich bliski.

Tak więc po wyprowadzeniu z domu, przewieziono Tatusia do więzienia. Tam wpakowano, włożono do celki przepełnionej do ostatniej miary współtowarzyszami. Byli to przeważnie wyciągnięci z domu w tym dniu. Nie było można usiąść, nie mówiąc już o położeniu się na ziemi. Tak upłynęła niemal goba, wieczorem następnego dnia wezwano kilku, w nocy jeszcze kilku. Mogliśmy położyć się na podłodze, przywarci jeden do drugiego, obracali się wszyscy my raz na bok tak mocne było zwarci. Na trzecią noc zabrano na przesłuchanie Ojca. Zadawano pytania dlaczego jest tak przeciwny ustrojowi radzieckiemu. Przytoczyli fakt. Miało to

miejscu latem 1939r. Tata siedział w ogrodzie, czytał gazety, w tym
 jakie kolorowy tygodnik w którym było zdjęcie Stalina z członkami
 rządu. któreś z nas dzieci podszło i zapytało Tatę, kto to jest
 Tata odpowiedział, to rząd bolszewicki. któreś z nas się odezwało wy-
 glądają jak chamy. Pytali też o najrośnięjszych urzędników itp.
 Po przesłuchaniu przenieśli Ojca na beton. Tak nazywały się małe
 cele wysokiego tam stanożcztery osoby. Z sufitu kapali im na głowy
 woda. Były to tortury. Niewypowiedziane cierpienie. Pomieszczenie miało
 nazwę na betonie ponieważ sufit, podłoga i ściany były betonowe. Wzywano
 z tamąd na przesłuchania i wprowadzano ponownie. Wreszcie przeniesio-
 no Ojca do sali, a następnego dnia na salę sądową. Na sali rozpraw
 Ojciec zobaczył Terleckiego. Człowieka dla którego wiele zrobił. Wyda-
 lano go z pracy za poglądy komunistyczne, Ojciec starał mu się o nowe
 miejsce zatrudnienia. Ojciec przekonany był, że on stanie tu w obronie.
 Pomylił się. Terlecki podawał, że był wyrobnikiem u Ojcy, że Ojciec pro-
 numerował prasę antykomunistyczną. Przytoczył fakt z ogrodu ubarwiając
 że to Ojciec mówił "to są bolszewickie chamy" Kiedy dopuszczono Ojca
 do głosu próbował wyjaśnić zarzuty. Niestety, prowadzący rozprawę podał
 a nasze stanowisko to co. Wyrok zapadł art. 58 Socjalno Opasnyj Aliment.
 Po kilku dniach Ojca przewieziono do Minska, Moskwy, Swierdłowsku, Nowo-
 sybirsku i Marińsku Żeligierze Jaj. / w Nowosybirsku zesłany był za cara
 brat Ojca Leon Dzikowski / Przesłuchania, przewozy, żywienie, nie różniło
 się jak dziś już wiem od obozów koncentracyjnych hitlerowskich śladem
 nie zatrzymam się przy tym. Wapcamę jedynie, że niektórzy z więźniów nie
 dawali swym "gościom" ani łyżki ani kubka. Ponieważ Ojciec mój nie miał
 tego wyposażenia zupełnie otrzymywał w czapkę. Zupa była to woda z kilkun-
 stoma wiorami kapusty więc nim Ojciec zdążył z czapki to wypić stała
 już na podłodze kałuża wody. Dawano też czasem z beczki soloną rybkę
 która miała imitować śledzia. Fragnienie było cierpieniem. W obozie Jaj
 barak do którego Ojciec był przydzielony wyrabiał szydełkowe grube dla
 wojska rękawice. Normą wypracowania było wykonanie trzech par rękawic
 dziennie. Wówczas więźniów mógł otrzymać swoją rację chleba. Był to mały

kawałek przymierzając, glinę tylko, że czarna jak ziemia. Niestety Ojciec nie potrafił wykonać przez długi czas tej normy. Otrzymywał tak jak wspominałem tylko to co nosiły nazwę zupy. Z tym, że tam miał już kubek i miskę. Wód dokuczał mu straszliwie. Ojciec bardzo osłabł. Widział że w baraku tym bardzo przyglądają się Ojcu dwie kobiety. Widać już tygodnie, a Ojciec nie mógł nabrać wprawy do wykonania trzech par rękawic dziennie. Pewnego dnia podszła do ojca przyglądająca się mu od dawna kobieta, zapytała ile ma pan zrobionych rękawic? Ojciec podał. Kobieta dołożyła gotowe rękawice do normy, mówiąc od jutra zawsze będzie panu podawała rękawice do otrzymania normy. Ojciec bronił się przed przyjściem, mówił, przecież tym pozbawię panią chleba. Powiedziała jestem tu już tak długo, że wyrabiam ponad normę. Kobiety mówiła po rosyjsku. Przynosiła codziennie rękawice zamieniając zawsze parę słów. Zapytała kiedyś proszę powiedzieć dlaczego jest pan tak bardzo smutny zawsze i smysłony. Ojciec odpowiedział, że dobiega rok jak nie niewie o rodzinie. Powiedziała na to rodzinę pan odnajdzie. Jestem tu z siostrą zakonnicą będziemy co dnia modlić się w tej intencji. Zauważył, że już że nie otrzymuje pan żadnych listów, nikt z znajomych nie pisze do pana. Ojciec opowiedział, że ten jeden list w miesiącu pisał zawsze tylko na dom. Po pewnym czasie zrobiło się miejsce koło tych kobiet, ktoś zmarł, w to miejsce zaraz zawołały Ojca. Teraz dużo rozmawiali z sobą. Kobieta była księżną Orłową siedziała w różnych więzieniach ponad 20 lat. Tu od pięciu lat trafiła z przerzutów więźniów jak i jej siostra. Przed nikim nie zdradzały się, że są siostrami żeby je nie rozłączono. Po kilku miesiącach weszli do baraku starszy strażnik i zapytał kto znosi na fotografice. Poza myślistwem było to druga pasja ojca. Zgłosił się. Zaprzesłano go do małej pracowni. Zaczął tam pracę. Otrzymywał już zupełnie inne wyżywienie. Robił dobre zdjęcia więc przychodziły całe rodziny służby więziennej. Przynosili przy odbiorze, parę ziemniaków, cebulę, inny chleb. Ojciec teraz rewankował się swoim wybawicielkom śmierci głodowej. Kiedy nadszedł list od pana Niedzwieckiego z naszym

adresem Ojciec zaraz poszedł podzielić swoją radość z zaprzyjawnionymi Paniami. Radość ich była ogromna. Powiedziały Bóg wysłuchał. A kiedy już nadeszedł nasz list razem z Ojcem płakały. Tym tak salachetnym kobietom pomagać mógł jednak krótko. Amnestia pozwoliła opuścić stalinowski łagier. Zegnając się z nimi, widoczna była ich ogromna radość że chociaż Ojciec będzie cieszył się wolnością. W dniu uwolnienia ojca z łagru wyszło razem około 100 Polaków. Większość nie znała się obóz był rozległy. Różne stanowiska pracy, wielotysięczny, wielonarodowościowy. Grupa uwolnionych kierowała się na Taszkient. Ci z którymi Ojciec utrzymywał kontakt nie wiedzieli gdzie przebywają ich rodziny. Podążali do formującej się Polackiej armii. Ojciec chciał się najpierw zobaczyć z nami i nas zabrać do tego zgrupowania Polaków. Podał adresy gdzie będzie u nas. Mieli zaraz napisać jak można zabrać z sobą rodzinę.

Niebawem nadeszedł list, żeby narazie nie ruszać się nigdzie że szalejący tyfus, krwawa dysenteria dziesiątkuje Polaków, że ulice dosłownie są rano zasłane trupami Polaków. Tak więc pozostaliśmy.

Ojciec zaraz chciał podjąć pracę, był taki słaby ale nie chciał być nam ciężarem. Najkorzystniej było rąbać kołchoznikom drzewo na opał. Zaproponował tą pracę Ojcu Rysio Andrusiewicz. Ojciec odmówił nie podejmam tej pracy. Ale rysio nie ustąpił. Rysio wziął główny ciężar pracy na siebie. Ojciec z nim piłkował drzewo, Rysio rąbał, a Tatusz układał w wyznaczonym miejscu. Był nad wyraz troskliwym dla Ojca, o swoim ojcu nic nie wiedział. Przychodził też do Ojca wieczorami po pracy na długie rozmowy, był wielkim patriotą. Rysio opowiadał Ojcu jak w Pińsku zaczynała się przed wywozem tworzyć z byłych żołnierzy i młodzieży grupa bardzo już znacząca do której i on należał. Ogromnie pragnął dostać się do Armii Polskiej.

Od naszego zesłania modliłam się zawsze tak dużo i tak serliwie o powrót Ojca. Idąc do pracy, w pracy, rano i wieczorem. Modlitwa moja przepełniona była ufnością. W odnalezieniu Ojca widziałam Łaskę Boską. Wiedziałam, że to On pozwolił nam być z Tatą, bez całkowitego osamotnienia. Teraz Mogłam się o nową Łaskę powrót do Ojczyzny.

Było coraz chłodniej i głodniej. Ciężka bezpłatna praca. Ale w nas młodych rosła radość, snuliśmy wizję przyszłości. Kończąc w tym roku nie zapłacił za pracę. Zamagatowałam się do pracy w wialni. Czyściłam tam przeniosę, którą zaraz mieszano z chemikaliami trującymi by nie rozkradano. Zawsze było można ukraść trochę czystej pszenicy. Jedliśmy tylko dwa razy dziennie. Józio zaczął robić z monet kolczyki, na zamówienie, jak i krzyżki dla zmarłych. Bez najmniejszej jednak przesady. Po każdym zrobionym krzyżku chorował. Za te prace dostawał: sól, a był to już luksus, mleko. Zaczęła się awitaminioza. Repląły dziąsła, plany ropy były w ustach, dokuczliwe tworzyły się też ranki. Najbardziej zaatakowała Huberta. Jego najmłodszego Braciszka był zawsze taki wyrozumiały, cichy, troskliwy. Prócł ropnych nalotów usunął, na supełnie sęby.

W kryk - Bakuku naszpota rejestrował ochotników do tworzącej się Polskiej Armii Powstańczej tam Hysio i Lonia. Zapisali się. Oczekiwaliśmy ich wyjazdu. Pani Ślizeska była sąsiadką kobietą. Ale rodzinę Andrusiewiczów potrzebował tylko Hysio. W tym czasie Rodzice postanowili opuścić samarkę. Zamieszkaliby na przeciwko u Martynowych. Było to młode małżeństwo z teściową, Pani Ślizeska z Lonią zamieszkała bardzo blisko u Mierofanowych. Tu mieszkaliśmy w kuchni, a gospodarz w pokoju. Gospodarz był ranny z nieruchomą ręką, senna dojarka. Gospodyni Miurka była w ciąży. Już w najbliższych dniach w naszej wsi był nocleg zaciągniętych Polskich chłopaków do Armii. Była to bardzo smutna chwila rozstania dla bliskich, ale i radosna w grupie było kilku kolegów z gimnazjum, nie wiedzieliśmy, że zamieszkaliby ten sam rejon. Bo przecież był zakaz poruszania się nawet w rejonie. Tego wieczora jeszcze wszyscy razem weselo bawiliśmy się.

Lonia odprowadził mnie z placu do domu. Prosił: Zapięknij się Wandus moja mamą. Niezliczone razy całował moje dłonie na pożegnanie, ale nie pocałowaliśmy się w usta, a przecież łączyle nas miłość. Nie mieliśmy odwagi. Już o Świątę chłopcy odjechali podwodami.

Pisząc o Loni nie sposób pominąć jego wspaniałej postawy wobec pani Sliwskiej. Już kiedy mieszkaliśmy w samance. Pewnego dnia Lonia przyszedł z pracy zdenerwowany. Powiedział tak bardzo muszę z mamą porozmawiać, ale chciałbym być z nią sam. Szepnąłem Mamusi wyszłyśmy. Siadłyśmy na zwałonym piłu przy samance. Słyszemy jak Lonia mówi do Matki. Mamę o coś chcę i muszę ciębie zapytać. Tylko błagam powiedz prawdę. Matka przez chwilę milczała, on ponowił prośbę. Używałyśmy Proszę, pytaj. Lonia przez chwilę mówił: Mamę nie ta matka która urodziła tylko ta która wychowała, czy ty jesteś moją rodzinną matką. Za odpowiedź usłyszałem spazmatyczny płacz. Lonia prosił powiedz to nic nie zmienię. Wstałam popatrzałam /to wstyd/ w otwarte okno. Lonia klęczał u stóp matki. Matka po długiej chwili odpowiedziała nie jestem Twoją matką. Lonia wtedy zaczął ją tulić całować odciskał z płaczem z Mamą. Później Loni przyszedł mi się że usłyszałam rozmowę przez otwarte okno. On powiedział mi, że Pani Maria Małynicz w Polu powiedziała mi, że pani Sliwska nie jest jego matką, że jest synem kochanki ojca, że ma też siostrę. że dzieci kochanka oddała i pani Wiera zgodziła się na przyjęcie Loni. Jak bardzo Lonia zaczął okazywać swą miłość matce, gdyby mógł napewno nie pozwolił by jej na rzadną pracę, wieczorami całował ją i tulił. Wiedział jak bardzo była szczęśliwa wtedy jego matka.

Lonia pisał często, pisał, że pragnie wrócić do wolnego kraju i odnaleźć mnie i matkę. że jest bardzo szczęśliwy, że walczyć będzie o wolną Ojczyznę. Pisał też pięknie Rysio, Nie wspominali, że dziesiątkuje choroba, że niemieccy na miejsce dużo przeszli.

Moje Narodzenie 1942r było już inne od poprzedniego. Była zacierka i ryba. kawałek chleba. Nowy Rok jak i w roku ubiegłym przeszedł niezauważalnie. Tylko byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy razem. że Polacy już walczą. Tatuś przez naszą Polonię został wybrany Mężem Zaufania. Pojechał z Dr. Besserem do Kujbyszewa na naradę, i odbiór darów UNRA. Tam w grupkach polacy zaczęli politykować, umawiali się na wieczorne spotkania. Tatuś ostrzegł dr. Bessera by nie brał w tym

udziału, radził już z własnego zagierowskiego doświadczenia. Doktor nie posłuchał. Po powrocie z Akmołińska w parę dni został aresztowany. Listy od Loni przychodziły żądziej. Ostatni był z Iranu.

Rok ten zdrowotnie był ciężki. Mamusia dostała noraż więcej ran na nogach. Jedynym środkiem łagodzącym odrywanie zakrwawionych i zropiałych szmat był zużyto z maszyn towot. Szkorbut opanował wszystkich. Józio zachorował na malarię. Okropne trzęsienie z zimna. Nie było chininy. Ratunek przyniosła ciotka gospodyni. Zapytała co mu jest kiedy cały zasiek wraz z nałożoną na brata całą pościelą drgał. Mówimy pewnie malaria. Wyleczę go powiedziała. Postaraj się o szklanę soli. Było to już trudne. Dostarczyłam kobieta nalazała do tej soli do pełna wody, podeszła do ikony pomodliła się przeżegnała podając Józiowi powiedział podstaw coś bo zaraz będzie wymiotował zieloną cieczą jak trawa i będzie zdrow. Tak się stało a brat po kilku dniach osłabienia był zdrowy do naszego powrotu.

Wież miała wielu rannych frontowców. Kobiety tak wyczekiwały małych trójkątnych z gazety kopert ze szpitali wojskowych były szczęśliwe kiedy ich bliscy znajdowali się w szpitalach a nie na froncie.

Po jakimś czasie zachorowałam i ja. Bardzo silne bóle w okolicy brzucha. Potworne torsje. Gospodyni powiedziała położyć się na piecu przejdzie. Ból tak się nasilił, że nie mogłam oddychać. Też przyszła ta sama "wiejska lekarka" Pyta to jest. Opowiedziałam. Musisz iść zemną poszłam. Położyła mnie w "gornicy" na podłodze. Z kądzieli wyrwała garść konopii, formowała siedem kulek. wrzucała je do glinianego gannka "krynki" Wzięła wrzeciono i z tym podeszła do świętego obrazu Modliła się. Podeszła do mnie i nabrała łyżką z krynki wodę. kazała otworzyć usta i przez wrzeciono wlała mi 7 kropli wody do. ust. Kazała położyć wyszłam bez bóleści. Dziś wiem, że był to pierwszy atak wyrostka robaczkowego.

Zachorowała też Mama, miała różę. Wyleczyła Mamę następującym sposobem. Spaliła owczą sierść na popiół. Pomodliła się wysypała to na szmatkę obwiązała chore miejsce. Wyleczyła.

oczyszczaniu z nieczystości Józio skaleczył się. Był to duży kawał świni, przy ściąganiu zaplamionej skóry skaleczył się raz jeszcze. Bardzo szybko powstał potężny obrzęk ręka była bardzo czerwona. Bał się pójść do felczera bo trzeba było powiedzieć co jest przyczyną. Parzyło się tą ręką w żugu niemal gotującym i przeszło, a Mamusia podzieliła to na kilka wspaniałych posiłków w bałtaszce.

Teraz już kiedy usłyszeliśmy, że ktoś zmarł biegliśmy się tam za niego modlić, bo wiedzieliśmy że zostaniemy obdarowani na cmentarzu "wspominkami". Nie było to już co kiedyś ociekające masłem, bliny szaniuszki, jaja, były pyszki ale i to były delikcje. Nie brzydził się już nikt tylko pakował do buzi jak najszybciej.

Tatuz wyspecjalizował się w robieniu grzebieni, Gospodynie przynosiły rogi bydlęce i z nich robił półokrągłe grzebienie ozdobne podtrzymujące kok. Gospodynie znów przynosiły mleko, i inne tak cenne produkty nie było tego wiele, za miarę służyła szklanka. Dla nas było do zbawienne. Pieniądz w tym czasie mógł wogóle nie istnieć, w wsi królował handel wymienny. Wszystkie zakupy były "coś za coś" tak też tylko coś spożywczego za pracę.

Ja zaczynałam lękać mimo wszystko że zginiemy z głodu. Zwłaszcza starsza generacja wyglądała co raz gorzej chudła, starzała. Myślałam jak zrobić żeby umarliśmy wszyscy razem. Zmarł właśnie dziadek Marysi połowiec, tak bardzo rozpaczali, że tu zostanie. Była to już piąta Polska ofiara w tej ziemi. Ta myśl nie opuszczała mnie. Jesienią kiedy zaczęło się palić w piecu w którym było palone i dwa razy dziennie był szyber. Postanowiłam kiedy nie będzie wyjścia zamknąć szyber wcześniej kiedy jeszcze wydobywał by się czad i wszyscy zasnąlibyśmy razem na wieki. To było podyktowane rozpaczą wiecznej rozłąki z najbliższymi. Tak musiała odejść Basia Krynicka by nie zostać osamotnioną. Przecież z tej racji co zarabiał Tatuz i Józio na każdego z nas przypadało tylko 100g dziennie bez tłuszczu, bez ziemniaka tylko to ziarno. Bracia moi wspierali swą pracą też by przetrwać. Mama i ja robiłam wieczorami za zlecenia skarpety, półeczochy rękawice z wełny. Ale wszystko co się za tą pracę do

stało poza sobą, która wystarczała na dłuższą, było na jeden dzień a nie zawsze były kłeczone zajęcia. A głód wkraczał do całej wsi milowymi krokami. Od dawna spalili w czerwonych wsiach. Mamusia przy kaganu nakładała wieczorami, łąte na łąte. Najgorsze były, spodnie Hubcia. A wazy opalały nas całkowicie. Mamusia kładła się spać zawsze ostatnią łąką naszą odzież wrzucała do pieca by w jeszcze dość wysokiej temperaturze wyniszczyć wazy. Nono wstawiała znów pierwszą by wytrześć odzież z popiołu i wazy. Tubleom było łatwiej przetrwać. Mieli krowinę, kur już prawie nie było bo czym karmić. Pozostało nam jeszcze nie używane Tatusia ubranie jedyna rzecz, którą Mamusia strzegła jak krenicy oka. Zawsze mówiła jeżeli. dotyjemy powrotu do Praga jak Tatusi zgłosi się do pracy.

Zaczęły napływać z Kaukazu wysiedlani przez pobratanie się z Niemcami Gruzini, Czerkiesi, Czeczeny, dużo Gruzinów i Niemcy z Powołozja. Jedną z Niemek zaraz po przyjeździe zwariowała. Byli to ludzie biedni. Natomiast te inne narodowości były zamożniejsze. Bardzo piękni ludzie. Pominęłam tu Inguszy. Wszystkie te kaukaskie narodowości cechowało u kobiet nie chodziły bez chustek na głowie, mężczyźni nosili piękne karakulowe czapki i peleryny wojskowe, czarne. wysokie skórzane po kolana obcisłe buty. Część z nich było muzułmanów. Bardzo religijnych. Modlili się trzy razy dziennie na dywaniku kłęczeli nawet w brygadzie w polu. Chłopczy z kołchozu rzucali w nich kamieniami podczas modłów dla sprawdzenia czy zareagują, nawet nie drgnęli. Bardzo często myli ręce z specjalnych "kufszynów" nalewając wodę. Tylko kobieta była u nich bez znaczenia. Jadła matka, żona, córka zawsze dopiero kiedy posiłek skończyli mężczyźni. Ulicom sześć zawsze przodem mężczyzna. Kobieta ciągnęła wózek z drzewem, a mężczyzna sześć przodem z sikiarką. Kiedy mężczyzna wchodził do pomieszczenia zaraz wstawiały kobiety i stały nawet te najstarsze.

W naszej wsi nie było Kaza-chów. Mieszkali w sąsiedniej wsi. Auł. Mieszkali też w jurtach, wojskowych okrągłych namiotach. Teraz kiedy już mogliśmy się poruszać po terenie Józio był w takim Auło. Ładność ta pracownice zajmowała się hodowlą owiec, koni. Wypasali w stepie ogłobrymi stadami. Ubierali się zupełnie odmiennie. Kobiety nosiły długie granatowe

szerskie suknie z szerokimi rękawami. Na to coś w rodzaju białych długich fartuchów. Ręwy okryte były płóciennym uformowanym białym nakryciem. Mężczyźni mieli na głowach zimą i latem ogromne lisie czapki z futrem na zewnątrz. Futro otaczało pacem całą z materiału czapki. nosili długie po kolana łakiety, Zimą wszyscy też chodzili w "poluszu-bkach. Pili nadzwyczaj dużą ilość herbaty. Wywili się baraniną i "kumazem" kiedkim mlekiem. Herbaty wieczorami potrafili wypić do 40 szklanek. Kiedy "czajem" opatowano Polaków po naszym tu przyjeździe nie znali nyczajaj, dziękowali a Kazachi nalewali przez nową szklankę. Nalewano szklankę odwrócić do góry dnem wówczas gospodarze wiedzieli że wystarcza i się dziękują. Jedźdźli w lecie tak jak rozejanie "telegaj" "tarantasen" "chłkom" w zimie saniami.

Dróg regulowanych oczyszczanych tu nie było. Był to wyjeżdżony trakt, w czasie lata zabijały się tumany kursu, zimą pawiane. a wiosną i jesienią z głębokimi kolejinami, wrytymi w błocie. Zimą właściwie jechano na skrót nie trzymano się traktu.

W lipcu tegoż roku jak grzmot uderzyła w Polaków wiadomość o śmierci Gen. Władysława Sikorskiego. Ta poniesiona 4 lipca 1943 roku strata tak wielkiego Polaka naszego abascyokryła Polonię łakobą. On nam zaczął torować drogę do Ojczyzny, On wyzwolił z stalinowskich kaganatów naszych bliskich. Wtedy też dowiedzieliśmy się, że Rząd Radziecki zerwał z Rządem Polskim 3 kwietnia 1943r stosunki dyplomatyczne. Rząd Gen. Sikorskiego w Łądyniem Stalin znów zaczął swoje wrogie nam praktyki. Zaczęły się ponowne aresztowania Polaków. Śmierć Generała wstrząsnęła nami tak, że poczuliśmy się, znów okazani. Czarna rozpacz. bez żadnej perspektywy. Małuchy które tu przyjechały dorastały do szkół. Nikt się nie uczył w naszej wsi. Postrajam tu już roczniki braci i moje. Myśmy musieli z miejsca walczyć o przetrwanie. Przyszły obawy czy Ojciec i bratu pozwolą dalej pracować w spółdzielni, a przecież to tylko trzymało nas przy życiu. Do amnestii mogliśmy pracować tylko w kolchozie.

W lutym tego 1943r powstał utworzony przez Gande Wasilowską w porozumieniu ze Stalinem Związek Polskich Patriotów. Tę naszą

Prawdopodobnie zaproponował "Jelec Narodu Rosyjskiego Stalin" Do nas jak zawsze przyszła ta wiadomość z dużym opóźnieniem.

Tatus z Józiem skonstruowali strzelbę. Zawsze do lasu wychodzili pod pozorami przywozu drzewa. Strzelba ukryta była pod kurtką. Tak zaczęli zimą polować. Był to ogromnie cenny do datek do 16 kg. "pajka" pomagala się utrzymać.

Jesienią znów dostałam się poprzez kołchoznice do wialni. Reklamowały mnie w zarządzie kołchozu, że dobra pracownica. Kradłam ile tylko było można, ta praca trwała zbyt krótko. Mimo wiadomych sankcji nie odstraszało. Kiedy przyszły mrozy wigorną pszenicą nawiązała odzież w tym trzeba było stać cały dzień. Czasem gdy przyjeżdżały wozy wojskowe po zbiorze dla frontowców pracowało się po 12 godzin. Poza tym kradzieży była tak bardzo wyczerpująca nerwowo. Od rana nasłuchiwała się czy nie zarządzą rewizji. Ale nadal chleb był tylko we śnie i marzeniach. Wystarczało, że jest dwa razy dziennie bałtuska, a resztę wyjadało się w workach.

Przyszła znów ostra zima, Zaczął u nas działać Związek Polakich Patriotów. Tatusia ponownie wybrano na mpla Zaufania. Tworzyła się Armia Kościuszkowska. Przed Nowym Rokiem zmieniłam pracę. Przyjęto mnie na sezon zimowy robię swetry, rękawice, skarpety do frontowców. Listy od Loni i Rysia nie przychodziły.

W styczniu 1944 roku do Kościuszkowców poszedł Henio Gutkowski/a był starszy od Loni/ Pozwolono polakom znosy zmieniać miejsca zamieszkania. Kilka rodzin wyjechało do Kokczetawu, Tyłkowaky, Gutkoway, Ciuchura, Kala Podgorna. Pani Małynicz i Nowakowska wyjechały do Jaontawu. W tej pracy było mi tak dobrze, ciepło. Byłam się wiosennego zabrania mnie znów w pole. I u nas zaczął grasować tyfus. Wyznaczono na izolację chorych duży dom tak zwany "pleciościennik" Choroba szerzyła się zwłaszcza wśród Inguszy i Czechenów. Tak bardzo bałam się tej choroby bardzo dużo ludzi umierało. Nie było żadnego ratunku dla chorego, nie było leków, była tylko izolacja i los, przetrwasz tyś będziesz, nie przetrwasz czeka cię lodowata syberyjska ziemia.

Tatusia i Józia spółdzielnia przersuciła na "rabatkę". Była to brygada rybacka. Ja poszedłem w pole. Musiałem orać jeszcze nie całkiem rozmaraniętą ziemię. Byłem prawie bosy. W Tatusia płaszczu podbitym futrem. Zniszczonym. Tatus dostał fufajkę z spółdzielni. Pług mój ciągnęło osiem wołów. Miałem dwóch chłopców poganiaczy siedzących na grzbiecie wołu. Woły po ziemi wyczerpane zupełnie z braku pożywienia padały w bruzdach. Pług usilnie starałem się wtłoczyć w ziemię. Robiłem to poraz pierwszy. W brygadzie była zonną Halinka Michałowska która nie dawno mieszkała w Lęborku. Kiedy poraz pierwszy część pracowników mogła pojechać "w bania" w tym i jarości się syn gospodyni Włodzimierz. Kiedy wszedłem siostra gospodyni wołała do mnie Waliczka popatrz jaki krasawiec Noworodka. Noworodka całego zamazanego, brązowego siedzącego na jej dłoni podnosiła i opuszczała. Pierwszy raz zobaczyłam noworodka, zrobił na mnie niekorzystne wrażenie. Powiedziała mi jaki on straszny. Nie sławałam sobie sprawy co tym wywołam. Siostra gospodyni wpadła w szal, zaczęła szukać czerwonej szmatki, Podbiegła do pieca do "krynki" wrzuciła trzy węgielki, czerwoną szmatkę i stanęła przed "ikoną" Modliła się. Wyciągnęła szmatkę, obwijała rączkę noworodka, trzy razy spryskała go z ust tą wodą. i cztery rogi pomieszczenia. Ja stałam skamieniała. Przyprowadziła, nie było to przyjęte. Nie rozmawiały ze mną. Mamusia leżała na szezleku. Pytam czy Mamusia chora. Mamusia mówi tak. Poleciałam do pani Słizewskiej. Króciłyśmy Mamusia mówi że boli ją cała ręka sływniej i pojawił się punkt jak ziarnko psu i powiększa się. Punkt już w wielkości grochu był na palcu prawej ręki. Mamusia niechęć przeszkadzać w poroście cichutko cierpiała. Hubert z gospodarzem od wiosny pał krowy. Nie było nikogo żeby zawołać kogoś z Polaków. Kiedy już gospodynie ochłonęły z egzorcyzmów. Też podszła babka i siostra gospodyni do Mamy. Stwierdziły to Jazwa. Choroba medycznie tam nie uleczalna. Kazały iść zaraz do Marusi Kosoj., zamówiła ale myśmy pobiegły do felczera. Felczer popatrzył potwierdził Jazwa. Idziecie odwiedzić do Marusi Kosoj. Później, trzeba było czekać do zachodu słońca. A z naczka już zajęty był cały palec

Był to błękitno granatowy pęcheń. Kiedy słodko zasnęło. Marusia kazała mi wyjść. Ja podeszłam pod nasyt pod okna i tak obserwowałam co będzie się działo. Marusia wzięła "krynkę" wlała tam odrobinę wody i po rozgrzaniu wyjęła zarzając się wgielki. Wruszyła do naczynia. Poszła do obrazu pomodliła się. Trzy razy nabrała w usta wodę rozpryskała ją z ust na dłoń Mamy. Powiedziała jutro przyjdź przez wschód słońca. Pęcheń już się nie poszerzył. Ranitko poszłyśmy znów. Powtórzyła. Powie teraz idź do felczera niech ci to przetnie. Marusia poszła już sama, ja musiałam pojechać do brzozy. Mówiła mi, że zaraz jak zobaczył powiedział że widział zamówiła. Przecież wyczytał i zaczęło się goić. Był taki przypadek Przewodniczący Rady wiejskiej musiał jechać podwoją do Kokczetawa ale się czuł, miał na plecach mały punkcik jak Mama. Powiedział jedy to tam pójdę do doktora nie zamówię. Nim dojechał podwoją był cały granatowy i zmarł.

Tak bardzo czekałam na powrotny wyjazd do bani. Miał jak czuje się Mama dręczył mnie. Po kilku dniach poczułam się bardzo źle. słabłam, byłam cała obolała, miałam silne zawroty głowy, w sobotę poprosiłam brzoziarza żeby pozwolił mi pojechać do domu. Odmówił. W kolchozie podczas wojny rozpoczęły się też w lecie prace i w niedziele. Praca była dla mnie ponad siły, niewymownie ciężka. Pracowałam bardzo wolno. Inguś widząc to, kazali mi leżeć w brzozi i orali na zmiany też moim pługiem. Wozy padały na kolana z zapalenia i wychudzenia. Wtedy chłopcy wiejscy rozpalali pod nimi ognisko i tym szusali do powstania. Dawniej oburzało mnie to do głębi, w tym czasie bez słowa nie reagowałam. Leżąc w polu zastanawiałam się czy to nie zapalenie płuc. Ponieważ w bałaganach jak nazywano z ziemi-darminy robione namioty w nocy działy się nieczyste rzeczy. Postanowiłam z koleżanką spać na dworku. Przed "bałaganem" w nocy spadł śnieg. Chłoby i zapalenie nie przebudziły nas. Inguś widząc że pada śnieg okryli nas swoją wojskową paleryną. Rano podjął pracę ale zaraz musiał położyć się w brzozi. Pracowali za mnie Inguś. Nie wytrzymując już swego niemości, i nie otrzymując zezwolenia na pojechanie do domu. postanowiłam po zasnieniu pracowników udać się

bez zezwolenia do domu. Było to nie mało 18 km. jak na chorego, zgorączkowanego człowieka. Szłam dosłownie całą noc sama. Bałam się przysiąść, bo wiedziałam, że już nie wstanę. Bałam się też, że o świcie brygadzista zobaczy że mnie niema i pogoni za mną. Kiedy dochodziłam do wsi Hubcio z gospodarzem już wyganiali na pastwisko. krowy. Iza blitaj było do mojej chaty, tym było mi trudniej zrobić krok. Dołokłam się pod dom. We dworze szedłam się już, Mamusia usłyszała jaki wyszła z kuchni. Podbiegła do mnie, ja straciłam przytomność. Mamusia wciągnęła mnie do kuchni, pobiegła do felczera. Felczera jeszcze nie było na usilną Mamy prośbę przyszła polecona. Stwierdziła "tif" - tyfus plamisty. kasała obciąć mi włosy do skóry. Zrozpaczona Mama zwołała panią Elitę kę, zaczęły obcinać mi włosy. Potym opowiadały, że ścięte włosy kładzion na szmatę ruszały się od wazów. Obie zaprowadziły mnie do izolacji. Gorączkę w chwili. przyjecha mnie przez lekarza ze szpitala, Grusina wykaza 41^o Po badaniu powiedział: Prócz tyfusu jest tu zapalenie płuc i angina. Mama prosiła lekarzy by ułokował mnie na łóżku koło okna. Żeby chociaż przy oknie mogła być przy mnie. Stała tam godzinami, modląc się o mój powrót do zdrowia. Często z Mamusią stali też polacy. Na następny dzień gorączka doszła 41^{2o} Mama rozpaczka strasznie nie było jak zawiadzić Tatusia. Nie było kropli leku, jednej tabletki. Organizm sam musiał walczyć o życie. Gorączka nie ustępowała. Walczyłam. Byłam cały czas pozbawiona przytomności. Widząc Mamy rozpacz lekarz powiedział Wódł się żeby umarła, bo żyjąc będzie ślepa albo nie normalna z takiej, tak długo utrzymującej się temperatury. Wszyscy we wsi Polacy modlili się o moje zdrowie. Całym dni i nocy miałam 41,2^o Gorączka zaczęła stopniowo spadać ale ja nawet już z normalną temperaturą nie byłam przytomna. Na jęku i z ust lekarza ściągnął mi koloru węgla spieczoną skórę. 14 dni już z normalną temperaturą byłam niekontaktowa. Kiedy wróciła mi przytomność pierwszą myślą było. Zawołać Jankę, wypowiedział się jej, a ona na mnie w Polsce, bo przecież umieram. Dał Bóg nie umieram. Panie! teraz do dziś wołanie Mamusi Wandus otworz oczy Tatusi przyszedł Cię odwiedzić. Otwierałam ołowiane powieki. Zobaczyłam stojącego na środku pomieszczenia

Tata i Mama. Ojcu spływały łzy po policzkach, Mama łkała. Niewiem co do mnie mówili, byłam jedna uzierną przysłać się zenną potęgnać.

Zdrowie stopniowo wracało. Nadchodził dzień opuszczenia izolatki. w której nie łączono, do którego rodzaju musiał przynieść pokój, a pokój, to rozkradali, obsługa i szkodliwy. To tak bardzo chronione ostatnie ubranie zostało sprzedane. Sprzedał jeżdzik a Mamusia aż do Wołodardki. Tam za to kupiła trochę maki, tłuszczu i soli. Niestety ja w tym stanie w jakim się znajdowałam z tych ilości nie korzystałam. Mamusia przyjechała po mnie wózkiem drewnianym. Pociągnęła wózek do domu, córka niechodziła. Byłam zdziwiona, że Mamusia nie okazała swojej radości, że żyję, że wracam do bliskich. Wózek ciągnęła bardzo wolno, przystawała. Przekonana byłam, że jest tak wycieńczona głodem. A kiedy ja będę mogła wrócić do pracy? Już po wciągnięciu mnie do izby. Mamusia powiedziała. Musisz sobie z Hubertem radzić. Ja idę na twoje miejsce do "szpitala". Czy ktoś może pojąć moją rozpacz? Nie chcę, połam na kolanach, będę od rana do wieczera sama. Nie odwiedza Mamy. Pani Słiszeska przysłała odprowadzić Mamę. Tataś wiedział kiedy wyjadę do domu. Przyjechał z taką radością. Witając mówił szybko wrócisz do zdrowia przywiozłam ci rybi tłuszcz. Tataś zauważył, że niema Mamy zapytał gdzie jest. Z wybuchem płaczu powiedziałam o jej chorobie. Tataś natychmiast wyszedł. Pożsałam za nim, był ciemno, usłyszałam jego głośne łkanie i wołanie: Boga nie zabierz mi jej. Ojciec stał zwrócony do ściany zagrody. głową uderzając w belki. Z, obito to na mnie potworne wrażenie.

Ojciec poszedł zaraz do izolatki, był tam już pod oknem. Hubert po pracy poszedł dowiedzieć się co jest z Mamusią. Mamusia leżała na tym samym łóżku, koło okna jak ja. Zaraziła się biedactwo ode mnie kiedyś weszła do sali, nie pilnowano. Zobaczyła, że leżę w okropnym stanie mokra, wymazana odchodami, uayła mnie przekraczając swoją suknię. w koszuli i fartuchu poszła do domu. Zaraz wyprała suknię i nałożyła po wyschnięciu do innej nie było. Napewno były w niej wazy, ugryzły i zaraziły. Jakiś znów łóg okazał się nam łaskawy. Doktor powiedział po kilku dniach, już mija kryzys, że tylko cud, że chora na najgorszą temper

raturę 37,8 i niema komplikacji inaczej by nie przetrwała. Dalej mówił że jeszcze nie spotykał tak strasznego tyfusu jak przeszłam ja i tak łagodnego jaki przeszła Mamusia.

W tym czasie w domu nie było nic do jedzenia prócz rybiego tłuszczu. Hubert pił mleko na pastwisku, ja piłam rybi tłuszcz. Tłuszcz ten pochodził z dużych ryb jazi. Były one po złowieniu natychmiast patroszone przez kręgosłup, tak rozpołowionym wyrzucało się wnętrzności do wiadra ustawiało to Tatus do słońca wypływał na wierzch zlewał go w butelki lub naczynie i dostarczał do domu. To jedno pomogło nam wrócić do sił. Po powrocie z izolatki Mamusia piła to też zemnie miało to takiego ostrego smaku jak pamiętałam przed wojną tran. Wokół wsi nie było żadnej trawy którą mógł by człowiek zjeść, bez szkody dla zdrowia.

Spółdzielnia nie miała w magazynie pszenicy na pająk tą ośmio kg. rację miesięczną dla pracownika. Mamusia wróciła a w domu zupełnie pustki. Z pomocą przyszła Janka Andrusiewicz. Cichuteńko żeby nie słyszała gospodyni powiedziała, pomogę ci iść, weź toganki ze sobą. Wyszłyśmy. Szłam chwiejąc się we wszystkie strony. Podtrzymywała mnie. Już w zagajniku rozpalimy pod tagankami, mam wszystko, skradałam u sąsiadki gdzie pilnowałam dziecka trzy dość duże kartofle będą dla Twojej Mamy. To było nie zapomniane. Sama głodna, ale nie chciała zjeść przyniosła mojej Mamie.

Niebawem przyszła wiadomość, że jest do odebrania pająk. wydelegowano po jego odbiór Józia. Odbiór był daleko aż za Aryk Bałykier. Często bywało tak, że nie było ziarna i czarny głód zaglądał nam w oczy. Tatus i Józio mieli chociaż na rybakce ryby i mąkę na zacierkę. Ale Mamusia Huber i ja byliśmy w gorszym położeniu. Mamusia rekonwalescentka ja bezsilna. Zwolniono wszystkich z brygady. Józio spotkał Tatusia w drodze. Tatus zapytał co masz z sobą do jedzenia. Józio miał w puszcze po konserwie zupę z trawy. Tatus dał mu rybę którą wiozł dla nas.

Głód w tym czasie był potężny, głodowali tubylcy, uciekinierzy i zesłańcy. Tylko, że tubylcy byli bardziej zorganizowani w kra-

dzieciach wszystkiego co było można skraść w Kołchozie. Chciał w tym zakresie najbardziej pomagać polakom.

Nie było nic do sprzedania, ja nie mogłam nic zaradzić a w domu panował bolesny głód. Największa troska była po Mamę wychudzoną zupełnie chorobą. Ja dalej potuszczałam się na kolanach. Nie miałam sił w nogach by samodzielnie przejść przez izbę. Mieliśmy silne zawroty głowy i mdłości. Nie było żadnej rady, że coś się zmieni.

Następny miesiąc był podobny wyczerpane ziarno, nie było znów pajka. Tym razem brygadzysta zwoził wszystkich i zapytał kto na ochotnika zostanie pilnować sprzętu i wołów. Zgłosił się Józio, ale prosił żeby Tatusz przysłał Huberta. Do rybakki było 16 km. Mamusia miała w domu jedną suszoną rybę. Oddała Hubertowi żeby miał tam co zjeść z Józkiem. Brygadzysta jednak pozostawił Józkiowi około 2 kg. maki. Później Józio wołał Huberta żeby zabrał tą mąkę do domu. Ryba którą Hubcio doniósł miała już kilka robaków. Usunęli je i upiekli w popiołe placek. Przeznaczony dla Huberta. Józio odmówił sobie żeby zostało do domu. Po kilku godzinach odezwał się ponownie głód. Usłyszeli w powietrzu trzepot. Nad nimi szybował jastrząb niosący w dziobie zdobych. Zaczęli krzyczeć jastrząb w popłochu upuścił zdobych, była to kaczka. Zraz zabrali się do oskubania i ugotowali ją, mieli wspaniałą kolację i śniadanie. Rano Józio wyprawił Huberta do nas, do domu. A na następny dzień już rybacy wrócili z mąką do pracy.

Józio dostał parę dni wolnego. Przyjechał i zaczął chodzić po jagody. Karmił nas tym. A to co można było pozostawić zmierzdzył i suszył placki z jagód w piecu na trudne dni. Hobciowi często ktoś z kołchoznic kiedy brali na pastwisko krowy dał kubek mleka, ale też był spragniony jakiej zupy z mąką. Mama już zaczęła chodzić i poszła na łąkę pozbierać jakieś trawy do ugotowania. Ugotowała takie okragłe liście. Zjadła tego sporo tak jak ja. Mnie nic się nie stało, natomiast Mamusia była tym bardzo zatruta. Znowu opadła zupełnie z sił.

Kilka krótko ścinała mi mama włosy, wyrastał tylko jasny puch. Często Janka mówiła zawiń głowę jakąś chustką, ale mi nie było obojętne jak wyglądałam

Znów spółdzielnia wydelegowała Józia po pajek. Miał ze sobą kilka rybek, a musiał jechać wołami aż 70 km. To była tak bezplanowa gospodarka co miesiąc wyjazd, a nie wysłać 3-4 podwozy za jednym razem. Na drogę najad się tylko gotowanej ryby. Tatuś z bólem parzył, jak jęczył dzie o głodzie jego dziecko. Myśmy nie wiedzieli o jego wyjeździe. Ale Bóg miał nas zawsze ze Swą Matką Bolesną w Opiece. W popowie drogi musiał przenocować. Tam wszędzie bez najmniejszych trudności przyjmowano na nocleg bezpłatnie. Zatrzymał się przy jedno izbowej izbuszce. Zapytał czy przyjma go gospodyni na noc. Przyjęła. Opowiadał Do zemdlenia unosiły zapachy przyrządzanego jadła i pieczonych podplomyków. Józio wypręgnął konie poszedł nad rzeczkę napić. Rzeczka była bardzo płytka siedząc nad brzegiem nim się woły napiły, zauważył dużego szczupaka wśród kamieni przybrzeżnych, poderwał się błyskawicznie i złapał zdobycz. Szedł do gospodyni z radością, pomyślał napewno mi go ugotuje. Kiedy wstąpił już z oczyszczoną rybą zapytał czy będzie można ugotować. Gospodyni powiedziała: Chłopcze dam Ci podplomyków, mleczka daj mi tą rybę mąż mój wraca z frontu ranny. Józio pomyślał Boże, podplomyki za rybę. Rybę jadał do znudzenia. Bardzo chętnie się zgodził. Rand kiedy wyjeżdżał gospodyni nakarmiła go jeszcze i zawinęła odrobinę maki. Zgotujesz w drodze powrotnej zacierkę. I tak brat mój odbył wspaniałe podróż, z pewnością tylko z Bożą pomocą.

Kiedy już powoli zaczęłam chodzić. Zaczęłam szukać możliwości zatrudnienia mnie w spółdzielni. Nie nadawałam się już do tak ciężkich prac polowych. Ostatnie na ściernisku pracowałam boso. Od korzeni wystająca sucha ostra słomy tak bardzo kaleczyła nogi, Stopy były we krwi, opuchnięte, na łydkach pełno krwi i strupów. To była Golgota. Miałam obiecaną pracę cenili w spółdzielni pracę Tatusia i Józia. Żeby nie wywieziono mnie do brygady, powlokłam się do imontawu. Do Złutki i Irenki które bardzo przeżyły więzienie doktora. Iśmierć Irenki siostry Juli. Poszła do Armii Andersa nie dojechawszy zachorowała na tyfus, odesłali ją po przyjeździe do zdrowia do domu. Przyjechała z tak zwanym tyfusem powrotnym. Zmarła.

Lubiałam bardzo obie jak i ich matki. Zwłaszcza Panią Witkowską która od świtu co ciemnej nocy pracowała w tym domu. Pani Bessero wa leczyła trochę ludzi. Byli dobrze sytuowani, mieli krowę. Obie dziewczynki uczyły się. Pani Witkowska żona komandora Marynarki wojennej była w tym domu służącą za lepszą strawę dla swego dziecka. Uprzątała krowę, doika zimą prowadziła do wodopoju. Słowem-prysługa. Prawie bosa w zachmanach. Tu widziałam, że my dzieci tak bardzo staramy się żeby nasza biedna Mama nie była przepracowana, żeby nie sama myślała o dniu jutrzejszym. Karmiono mnie wyśmienicie. Dziewczynki pokazywały jakie robią sobie w rysunku modele sukienek jak wrócimy. Byłam zaskoczona, że tak można było tu żyć. Nie wierzyłam myślałam, że śnię. Liczyli się z p. Besser - lekarz, a potem, lekarka.

Zaczynały się wykopki, Mamusia, Tatus i ja pracowaliśmy przy wsi, kołchoznicy nie zważali pozostawiali w ziemi piękne kartofle byle uważało się, że tyle i tyle arów zostało wykopane. Umówiliśmy się że i my będziemy zostawiać a po skończonej pracy na tym odcinku przyjdziemy na przekopki. Tak było. Ja bardzo szybko teraz zaczęłam przychodzić do siebie, Kopiać ziemniaki zawsze w koszach pod chustką niesko się kartofle. Jedliśmy dużo i składaliśmy na zimę. Za pierwszym razem w bardzo krótkim czasie napełniliśmy nieoczekiwanie worek. Niemógł pozostać w polu, ktoś by zobaczył, uznali by że to tylko my celowo pozostawialiśmy te ziemniaki. Tatus z Mamusią załadowali mi na bark worek. Poszedłam do domu, nie mogłam odpoczywać, bo kto by mnie na bark położył worek szłam więc z tym cennym ładunkiem, aż do domu 5 km. Kiedy już w zagrodzie zrzuciłam worek, siadłam na ziemi i bardzo długo nie mogłam wstać. Babuska słysząc, że ktoś trzysnął bramą i nie wchodzi, wyszła, zapytała: Co z tobą. Pokazałam worek. Była zdziwiona. Pomogła mi wstać. podprowadziła do rąbanej sterty drzew. przyniosła wodę. Napiliśmy się umyłam, wzięłam wózek i pojechałam z-powrotem. Do wieczora uzbieraliśmy jeszcze dwa worki. Jaka to była radość. Na następny dzień było na polu już dużo ludzi, Polaków, dzieci i uciekinierów. plony były coraz mniejsze. ale i kosz kartofli był bezcenny. Tak przygotowaliśmy sobie osiem worków ziemniaków na zimę.

Już w pierwsze mrozy pojechaliśmy do wsi Ajertaw z Hubciem żeby jeszcze dokupić ziemniaków. Rano było nie bardzo mroźne. Było to nie daleko 8-9 km. ale inne województwo Pietropawłowsk. Tam kupiliśmy jeszcze worek, ziemniaków. Dzień był krótki, byliśmy bardzo zmęczeni bo droga była fatalna. Rozjeżdżone śnieżne koleiny, utrudniały ciągnięcie sanek. Przystawaliśmy. Hubert mówił ja już nie dojdę. Zrobiła się noc. Po pewnej odległości Hubcio mówi mnie się chce tak bardzo spać, i nie mam już siły. Nie mogłam posadzić go na sanie bo by mi zamarł. Pierwsze objawy zamrażania właśnie objawiają się sennością. Szliśmy coraz wolniej. Droga wiodła przez las. W dali usłyszeliśmy wycie wilków. Złękliśmy się bardzo. Była choć rzadko przypadki napadania wilków, na oborki we wsi. Ale pod wieś wilki zimą przychodziły często. Przyspieszaliśmy kroku. Hubcio padał. Błagałam żeby zebrał siły. Już nie przystawaliśmy dla odpoczynku. Dopiero za parowym młynem, przy wsi usiedliśmy na worek dobrze okryty, ale nasze kartofle sprawiały dźwięk orzechów, a nie kartofli. Zupełnie przemarzły. W domu czekano na nas z ogromnym niepokojem. Gospodarz poradził kartofle pozostawić w zagrodzie, braliśmy je zmarznięte szybko oczyszczaliśmy i do garnka na zupę. Teraz bałtuszka była z ziemniakami i nito mąką, nie kaszą.

Rozpoczęłam pracę w spółdzielni. Pomogła mi w tym też syberyjska koleżanka Tonia Niczypurczyk. Ona robiła tam "pimy" mnie przyjęto na gremplarnię "szerstobitka" Praca moja polegała na rozczesywaniu wełny na walonki. Maszyna tworzyła duże grube jak prześcieradło płaty. z tego formowano walonki. Ten dział pracy nazywał się "pimokatnia" Mieliśmy już 24kg. pszenicy miesięcznie, ziemniaki. Była to bardzo dla nas intratna praca. Tatuś tylko stale mnie upominał, niekuś się dziecko na garść wełny bo to takie niebezpieczne. Widziałem jak na młodzież w obozach, tam siedzą wszyscy razem, zbродniaże, zjodzieje itp. Wełna spadała też razem z nieczystościami w niewielkich co prawda ilościach. Z tego zaczęłam brać. W domusku bałam czyścić i składałam. Kiedy spółdzielnia miała dość rozczesanej wełny. Przyjmowano do czesania wełnę kołchozników, Przyjeżdżali też kołchoznicy z całego rejonu i z poza. Ludzie czekał po dwie trzy

do by. Klienci prosili mnie "Dzieweczka zostań na noc my ci wynagrodzi-
my. Zostałam. Pozostawili mi wszystko co spadało pod maszynę. Dali makę
śmietaną, tłuszcz. Zobaczyli już w pracy drugiej doby, że upadam z sił
karmili mnie wreszcie kazali się położyć na ich kożuchach pracowali
sami. Była wełna i jedzenie. Co drugą noc szłam spać, pracowałam bo było
za co. W domu "dobrobyt". Wełnę oddałam w zamian za mamy pracę przy ro-
bieniu na drutach. Mama zaczęła robić Tatusiowi i braciom skarpety.
Ja dokradałam, namawiała mnie Tonia i zatrudnieni w pimokatni Ingusze.
W wielkiej tajemnicy zrobiłam jedną parę walonek w rozmiarze uniwersa-
lnym dla nas kobiet i braci. Tatus miał myśliwskie z domu buty. Sznurowane
niemal pod kolana. Co była za radość kiedy przyniosła je Tonia.

Była już ostra zima z zawiejami. Tatus poszedł po coś do
biura spółdzielni, które graniczyło z pocztą. Urzędnicza pocztowa zawo-
łała Tatusia mówiąc są listy dla Polaków, tak robiono zawsze jak ktoś
z Polaków był na poczcie. Listów było kilka bo pisali teraz Kościuszkow-
scy z jednego wypadła fotografia. Ojciec ze zdziwieniem zobaczył zdję-
cie w mundurze Rysia Andrusiewicz. Poszukał tego listu, był z włoch
gruby i otwarty, z pieczętką cenzura takie listy zawsze przychodziły
podczas wojny. Ojca bardzo zaciękawilo, że list nadany przez nieznanego
nadwcę, a zdjęcie Rysia. Wyciągnął wszystko z koperty wiedziony złym
przeczućiem o Rysia. List zawierał kilka fotografii, Zawiadomienie, że
Rysiu poległ pod Loreto już po zdobyciu Monte-Casino. Pisał o tym
Mój kolega szkolny Zdzisi Zalewski. W liście były piękne słowa. Ostatnie
Rysia: WYBACZ MAMO TO ZA OJCZYZNĘ. Ojciec po pracy poinformował nas
o tym, nie sposób było oddać pani Andrusiewicz tak tragiczną wiadomość.
Była schorowana, w podeszłym wieku. Tatus mówi nie przeżyje tej wiado-
mości. Posłał po panią Sliżewską, była najstarsza z Polaków. Radzili. Ura-
dzili, że nikt poza wtajemniczoną panią Sliżewską więcej się nie dowie
do lepszych czasów. Ta wiadomość mogła powiększyć liczbę tych co spoczęli
w tej ziemi. Płakaliśmy. Rysio był wspaniałym człowiekiem tyle pomógł
Tatusiowi, był wielkim patriotem. W serce moje wkradł się dodatkowy ból
Co z Lonią, może też?

Okupant cofał się, już wyzwalało naszą Ojczyznę. Przyszedł, paczki Polonii Amerykańskiej i "UNRY". Polakom żyć było łatwiej. Naszą dużą radością był synek gospodyni. Woweczka. Ten którego tak nazywała, jaki on straszny. Kręcał się ciągle koło Ojca i Józia, kiedy wstawiali dna, do wiader, remontowali garnki, miednice, robili krzyżyki. Mnie nazywał Niania. Bracia nauczyli go Niania durnia, on nie potrafił wymówić i śpiewnie zawodził: Niania durnia, durnia, durnia. Wszystkich pobudzał tym do śmiechu. Tak mnie przezywał kiedy na niego za coś krzyczałam.

W wiosnę 1945r wioska odczuwała głód nadal, już kilka lat kołchoz nie nie płacił. Kołchoznicy i reszta utrzymywała się z kradzieży mieli tysiące sposobów. Kradli pszenicę już przy młódcie. Na worki nakładali słomę, siano i tak żyli. Kiedy spłynął śnieg, jeszcze nie zaczęto orki. Kto mógł wyległ na ścierniska zbierać kłosa. Chodziliśmy i my, Polacy. Często szło się kilka nacie nawet kilometrów. Rozganiał zbierających kłosa, przewodniczący kołchozu i inni. Chodzi też nasz gospodarz. Pewnego dnia zabrał z sobą braci. Poszli daleko. Gospodarz zobaczył tam stojący w polu od jesieni kombajn. Podeszedł spostrzegł nie zdjęte parcie grube pasy. Powiedział do braci. weźcie to do worka. idźcie do domu, ja pszenicę którą nabieram dam waszej mamie.

Gospodarz pas zdjął, zapakował braciom, poszli do wsi. Na drodze spotkali przewodniczącego kołchozu. Zatrzymał ich pokażcie co niesiecie w worku. Było tak, że wysypywali zawartość kłosów i rozdeptywali. Otworzył worek. Zabrał worek z pasem, braciom kazał iść do "Sielsowietu". Bracia bardzo przestraszeni wpadli do domu. Powiedzieli Mamusi. Poszli tam gdzie kazano. Mamusia poleciała do Tatusia w bezgranicznej rozpacz. Mamusia podała z kąpielnią iść z powrotem gospodarz. Tatusz poleciał do "Sielsowietu". Chłopców już trzymano w piwnicy, czekali na milicjantów. Tatusz powiedział chłopcom tylko, że mają mówić, że gospodarz kazał zanieść do domu pas, że trzeba go oddać i powiedzieć o niegospodarności kołchoz przewodniczącemu. Sam poszedł na przeciw gospodarza. Spotkał go i kazał tak tłumaczyć. W domu już była rewizja, Mamusia ledwo się trzymała. Przecież w domu była broń co prawda własnej konstrukcji ale palna.

szukali w piwnicy, w zagrodzie wszędzie, Strzelba była ukryta w piwnicy w podwójnej ścianie, z belek. Była to jeszcze skrytka z rewolucji, tak przechowywano zbroje przed skonfiskowaniem. Gospodarz wskazał Ojcu to miejsce na przechowanie. Rewizja nie nie ujawniła. Gospodarz, zaraz z drogi poszedł do "sialcowietu" powiedział co macie już pas, jaka bezmyślność wa-s cechuje jaka niegospodarność. Napiszę o tym gdzie trzeba, musicie dać mi pokwitowanie, a ja zrobię dalej. Uwierzili, gospodarz był bardzo prawy ale i on nie miał w butach zelówek, pas chciał zużyć na ten cel. Braci wypuścili. Nie przetyliśmy to tak, że miałam nawrót kilkugodzinny "kłapania szczękami jak podczas bombardowania. Tatusi mówił, że najmniej dostali by po pięć lat zęgru a przecież wolność była tak blisko.

Na Wielkanoc Mama zrobiła mnie prezent, tak cenny na tamten czas i tak nieoczekiwany. Kupiła po niemiecką suknię od inwalidy wojennego i dała mi zrobić z kupionych styrych cholew najmłodniejsze obuwie 3/4 luzne buty z cholewami. Składała z naszych wypłat i ubrała mnie jak "dame" Chodziliśmy już tylko w wełnianej spódnicy i swetrze bez najmniejszego skrawka bielizny, Mamusia i ja. Tatusi i bracia spodnie z niezliczoną ilością łat i swetr. Też bez bielizny. Wjagerzej marszy uda i kolana bo pończochy wełniane sięgały tylko pod kolana. Jak ja byłam dumna zaglądałam w okna jak w lustro żeby zobaczyć siebie w całości. Byłam przecież kobietą.

Po świętach Tatusi i Józio wrócił na rybakę. Prócz nich pracowali tam Rosjanie i Ingusze. W spółdzielni pracowała tylko nasza rodzina. Kiedyś w jakiś wolny dzień poszłam z jakąś sprawą do Tatusia było to 13 km. Rybacy byli na jeziorze, W szalaskach nikogo nie było. Nad brzegiem jeziora stało dwóch Inguszy. Stali oparci o krawężnik do zwijania lin od sieci, ściągania sieci do brzegu. Znałam obu pracowali zimą w pinekatni. Zawsze kiedy wchodził do pomieszczenia gdzie kobiety pszczyły wełnę staruski stawiały. Zawsze mówiłam im u na jak wchodzi kobieta do pokoju, wstają mężczyźni, nie róbcie tego. Po kilku dniach Tatusi przyjechał do Łodzi. Opowiadał wiesz, że już kilka razy pytali

nie czy bym zezwolił na zawarcie związku małżeńskiego z tobą i Mullą. Tak nazywał się Ingusz. Zawsze odpowiadałem, że to musi być wybór córki u nas kobieta sama decyduje. Po Twoim wyjściu z rybakki wieczorem znów wrócili do tego tematu i pytali jak wielki chciał bym za ciebie "ko-
 zym" - wykup. Mówili przecież będzie pierwszą żoną. a i, Małym za pierwszą żonę jest najwyższy. Wiara ich zezwalała na wielożeństwo, to też wielu Inguszy w Żobanowie mieli po trzy żony. Nie mogę dać odpowiedzi za córkę czy zechce wyjść za mąż. Ale ja bym był przeciwny, bo u nas kobieta zajmuje w domu pierwsze miejsce nie jak u Was mężczyzna. Zapewniali, że będę miała jako pierwsza największe prawa. Że wiedzą jakie są prawa kobiet w Europie bo jeden syn był nauczycielem. Ojciec zapytał co Ty na to? Odpowiedziałam, że niema o czym mówić. Ja chcę wrócić do kraju, a nie wychodzić tutaj za mąż. Że nawet z przymusu bym nie wyszła.

Nadszedł pierwszy maj 1945. Święto już radośniejsze ale nie było porównań z pierwszym majem 1940r. Przyroda obudzona ze snu doprowadzała o zawrót głowy. Było nam radośnie. Mówiło się o powrocie do kraju. Walki trwały już na terenie niemieckim.

10 maja 1945 rano jak zawsze Hubci z gospodarzem raniutko wygnali krowy na pastwisko, Mamusia kończyła gotowanie całodziennej strawy. Ja miałam wychodzić do pracy Tatuś z Józkiem był na rybakce. Nagle cisze rozdarł przenikliwy krzyk, mir, mir, mir. To kaleka porażona konsumpcją zatrutej pszenicy pełzła ulicą i wołała, pokój. W tym też czasie zaczęły wracać krowy, Hubert mówił, że drogą pędziło dwóch chłopców z Imontawa i przed wsią już krzyczeli mir, ludzie mir. Cała wieś krzyczała mir. Ludzie biegli ze wszystkich stron, całowali się ściskali, nie patrząc kto to jest. Każdy promień łał, nawet frontowe wdowy. Nikt nie pracował wszystko, każdy miał na ustach победа-zwycięstwo mir. Nie mogę obszerniej opisywać co działo się w ludzkich sercach, w Polskich realne stawało się zobaczenie Ojczyzny. Przez trzy dni kołchoz świętował jak w Aktyberską 1940r. Byli frontowcy upijali się do nieprzytomności. Kobiety piły na równi z mężczyznami. Wieś była pijana alkoholem i radością z zwycięstwa. Ale z niektórych domów dochodziły ciche zawodzenia, Och nigdy już

mój synku, czy Mężu nie zobaczę. - I w końcu zobaczyła go.

Powróciły dni pracy i naszych oczekiwań. kiedy powrócimy do kraju. Jeden tylko Bóg i Mająsiętsza Matka Jęge wiedzą jak żarliwie modliłam się o powrót do kraju. Odprawienie całej naszej rodziny do tej widzianej teraz we snach Ojczyzny. Myśle, że wszyscy w naszej Polonii modlili się o to samo. Ufaliśmy, że zostaniemy wysłuchani. Już w 1944r wezwano do Aryk-Bałyku już na przeszkolenie wojskowe, jaki był ból, że wezmą na front. Nie było już potrzeby. On brął to jak coś zupełnie oczywistego ale Rodzice i ja przeżyliśmy to głęboko.

Przeszło lato i Jesień, znów zawitała zima. Była sroga okna raz zamrożone już nie oddajały. Nawet na stojących w izbie wiadrach z wodą w nocy zachodził lód. Rano jak zawsze hakiem Mama rozegrzebywała śnieg. Trzepała nasze ubrania z popiołu, gotowała pożywienie. Zostawała z Hubertem w domy. Mysmy wychodzili do pracy. Tylko myśmy już nie marzli w nogi było 3 pary waleńków. W kuchni zaraz po rozpaleniu robiło się błogo, ciepło. Byliśmy syci.

Nadszedł też Wigilijny poranek. Józie tym razem zakrzętał się wcześniej niż Mama. Rozpalił w piecu. Tatusz z Józiem wybierał się na tradycyjne Wigilijne polowanie. Dzień był radosny z racji świąt i pięknej słonecznej pogody. Po trzech latach dzisiaj miał być pieczony specjalnie tylko z okazji Świąt chleb. Było topione masło z UNRY ser żółty, ryba, suchone dzikie truskawki, kułaga. Oszczędzaliśmy by te delicje podnieśli tak piękne święta. Ryba od dawna czekała świąt była zamrożona. Jakie bogate z powiadały się święta. Po tych strasznych głodowych. Ojciec pakował strzelbę, tą skonstruowaną. Józie miał strzelbę pożyczoną, od myśliwego. Myśliwych z konieczności niż z zamiłowania było tu wielu. Wieś leżała daleko od NKWD w Aryku-Bałyku. Kołchoznicy nie mieli w zwyczaju donosić. Było dość bezpiecznie. Po zjedzeniu bałtuški nasi miśliwi wyszli. Ja z Mamą tak radośnie piekłam kilka kołaczy, pyszki gotowałyśmy potrawy świąteczne. Zakrzętałe po dłuższym czasie zauważyliśmy, że nie świeci słońce. Wyszłam do zagrody bo przez zamraża

niete szyby nie można było dostrzec jak zapanowała pogoda. Z przerażeniem spostrzegłam, że niebo zaciągnęły ciężkie, ciemne szare chmury, bez promyczka słońca. Nie wróżyły nic dobrego. Lekko zaczął powiewać wiatr. Tak zawsze zaczynały się śnieżne huragany "burany" Zamarło mi serce. Ojciec i brat mogą już do nas nie wrócić. Zginą w zamieci. W taką porę nie chodziło się nawet w środku wsi. Hubert co chwila wychodził sprawdzić co jest na dworze nowego. W końcu z wielką siłą zerwał się buran.

Nie myśleliśmy już o Wigili. Jedną tylko mieliśmy myśl. Czy szczęśliwie wrócą. Czy nie pozostaną w uścisku białej śmierci. Wiadomo było, że w taką porę już dręgi nie znajdują, zamieć wyrówna każdy dołek, każdą wklęsłość w śniegu. Wiadomo było, że tylko cud może ich uratować. Czas wydłużał się potwornie. Już napewno na niebie pod zwalistymi chmurami błyszczała nie jedna gwiazda, a ukochanych nie było. Zdawaliśmy też sobie co oni przeżywali. Przecież czeka ich niechybna śmierć, przez zamarznięcie w śnieżnej zamieci.

Zapadła noc. Siedzieliśmy bez słów jak zkamieniali, nasłuchując każdego szmeru. Nałyszelismy skrzypnięcie bramy. Nasi ^Najukochansz wrócili. Bóg sprawił nam cud. Wybiegliśmy do zagrody. W radosnym płaczu w głos dziękowaliśmy Bogu za ich ocalenie. Wyszli też nasi gospodarze. Babuszka powtarzała kilka razy CUD. Odmrożeni, potwornie zmęczeni, płakali razem z nami. W kuchni usiedli na ławie, nie mieli sił zdjąć obuwia i okrycia. Z Hubertem rozbieraliśmy ich. Gospodarz przyniósł śniegu rozcierał im ręce i policzki. Chwila opowiadań. Opowiadanie to w ujęciu Józio w opisanie oddzielne. Dopiero teraz zaczęliśmy smażyć rybę, lepić pierożki. Zapachniał też znacznie wcześniej upolowany zając. Piekł się na I-szy Dzień świąt i miał być podany z ziemniakami. Co za obrzydliwe.

Usiedliśmy do stołu. Chleb służył nam za opłatek. Gospodarze nie przeszkadzali nam w tych uroczystościach to łamanie się chlebem było myślę dziś tak jakbyśmy zasiedli przy Stole Pańskim. Jaka była pełna radość tego wieczoru. że jesteśmy razem, przy tak suto zastawionym stole. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że była to ostatnia Wigilia naszego

wygnania. Długo w nocy gospodarze i my wśluchiwalismy się 95
w grane przez Ojca na cytrze kolędy. I oni dzielili z nami nasze
szczęście i radość że Bóg pozwolił nam być razem.

Zaraz po świętach do stróżówki Tatusia przyszedł milic-
jant Weropajew. Tatuś w zimie zawsze był stróżem. Wołał Dzikowski
zaraz do mnie. Milicja. Ojciec zamarł. Milicjant przyszedł was Dzikow-
ski aresztować, przerwał i powiedział i wyjedźcie do Polski. Musi-
cie jak najszybciej przygotować wszystkich Polaków dokumenty. Ojciec
pozostawił stróżówkę, biegł przez wieś żeby nas jak najprędzej za-
wiadomić. Polecił nam zawiadomić niezwłocznie całą Polonię. Mamusia
Huberta i ja podzielilismy się do kogo kto biegnie. Bieglismy
kiedy kołchoznicy pytali. Cze tak bieżysz, odpowiadalismy - jedziem
do Polski. Bieglismy płacząc całą drogę, wpadalismy do domów na dwa
zdania i bieglismy dalej. Reakcja była prawie u wszystkich jednakowa.
Modlitwa.

Nowy rok 1946 był poraz pierwszy przez Polaków zauważy-
ny. Tatuś, Marysia Połowiec i ja kompletowalismy Polaków dokumenty.
Speządzalismy wykazy. W lutym kołchoz dał każdej rodzinie po 5 kg.
mąki. Przychodziła pomoc UNRA. Coraz częściej był w domu chleb. Zda-
wało nam się, choć był to tylko kawałeczek, że jemy marcepan.

Kiedy przyjechał pracownik NKWD żeby wydać nam karty
repatriacyjne, z napisami o porozumieniu z 6 lipca 1945 roku z listy
wyjeżdżających do Polski skreślona była rodzina Krasnoszczekowych.
Pani Krasnoszczekowa udawała teraz swoją polskość. Niestety
było za późno. Do Polski mógł wyjechać tylko Polak.

Wszyscy jednak pracowalismy nadal. Już było słychać, że
z Kocketawu odeszy pierwsze transporty. Były to przeważnie rodziny
Kościszekowców. Przyszła i na nas pora. Zawiadomiono nas, że wyjeżdżam
23 kwietnia 1946r. Żegnaliśmy się niemal z co drugą chatą we wsi.
Pożegnania były serdeczne i czułe. Życzono nam jak najlepiej wiedzie-
lismy o tym. Najmilsza moja z tych czasów rosyjska przyjaciółka Tonis
Niczypurczyk konała na galopujące suchoty, Nie dbała o siebie z pi-

makatni" wypełnionej parą tak, że nie było widać drugiej osoby bez okrycia wychodziła przed "cech" jadła śnieg. stała oparta o budynek żeby ochłodzić się. Mamusia pozwolił mi założyć złote piękne kolczyki ostatni prezent na imieniny 1939 roku od Tatusia. Toni tak bardzo podobały się te kolczyki. Prosiły leżąc już bezsilna nałożę zobaczę jak bym w nich wyglądała. Przymierzyła i powiedziała jakś ty szczęśliwa. Opowiadałam Mamusi, że matka jej powiedziała sprzedaj te kolczyki Toni ty sobie kupisz w Polsce. Mama bez dodatkowych słów powiedziała idź. zanieś to Toni jako prezent. Niech ma tą ostatnią radość, a tobie kupimy w Polsce nie mniej ładne. Poszłam kiedy wręczałam jej kolczyki i powiedziałam, że to prezent. Płakała i zawołała matkę poprosiły by z kufra wyjęła najładniejszą chustkę i dała ją mnie. Niech będzie Ci na wieczną pamięć powiedziała. W następny dzień po naszym wyjeździe zmarła. Rano 23 marca 1946r do naszego domu podjechały sanie, zwane rozwalonki. Pożegnania z gospodarzami. Obustronne płacze i życzenia. Wowoczek płacząc wołał ja terze w Posiu. Ja też w Posiu. Zaczęliśmy pakować na sanie naszą czerwoną inletową pościel. Worki sucharów i ten kosz podróżny w której było naczynie, cytra i drobiazgi. Odjeżdżaliśmy na punkt zborny do Imontwy. W duchu cały czas modliłam się, że nie musiałam zaciadzić całej rodziny, że Bóg Wszechmogący pozwala nam razem wracać do Kraju. Wielom nie było to dane by wracali całą rodziną. Wielu pozostało w tej zimnej ziemi, która z nas dzieci wyciskała niemal krwawy pot, i nie była naszą sytą żywicielką.

Zostali wśród szumiącego^w stepu kowyłu, cudownego brzoźowego i iglastego lasu, wśród gór, mrozu i zamieci śnieżnych. Udręczenia pracą i głodem. Kłaniać się im będzie jedynie to samo Ojczyście słońce co rano i żegnać wieczorem.

Bóg Wszechmogący dał i Matka jego sprawiła w swym miłosierdziu, że my wracaliśmy całą rodziną, do tej tak wymodlonej Ojczyzny. Wydawało się, że nigdy już nie odnajdziemy Ojca, potym, że nie przetrwamy głodu i chorób. że skazani jesteśmy tam do końca dni swoich Bóg w Swej Łasce wywiódł nas z tego koszmaru. Należeliśmy wtedy do tak rzadkich

97
GAD NIKI STOCZĄ LIWYMI RODZIN POWRACAJĄCYCH DO KRAJU. STALINIZM-NEWD
całych, szczęśliwych rodzin powracających do kraju. Stalinizm-NEWD
zrobiło takie spustoszenia w rodzinach. Gdyby nie pomoc NNRA ileż to
rodzin pozostałoby jeszcze w Syberyjskiej Ziemi.

Wyjeżdżaliśmy Ufni Bogu, że dojedziemy szczęśliwie do Polski
że nie i nikt już nas nie rozłączy.

DROGA DO OJCZYZNY

Jeszcze na saniach śgnali nas niezliczeni mieszkańcy wsi. Najlepsze życzenia z obu stron, Podwoły ruszyły. Słoneczny dzień tożwiał nam drogę. Płacz Nowoczeki przenikał przez ściany domu. Rodzice jego weszli w zagrodę. Długo trwało w naszych saniach milczenie, Myśleliśmy że każdy z nas dziękował modlitwą Bogu. Prosił Najświętszą Pannę o szczęśliwą drogę. Nasza rodzina jechała sama, W innych saniach kobiety samotne lub dwie mniejsze rodziny. Kolumna saní przesuwała się przez wieś. Wjechaliśmy w ulicę gdzie mieszkali Krasnoszczokowie. Matka rzuciła się płacząc na jakieś sanie, sanie ciągnęły się po śniegu, ztoczyła się z drogi w głąb płakała. Szlochały też jej dzieci, machając do nas rękami. To była tragedia. Przed każdym domem stali mieszkańcy wsi machali do nas, szali życzenia. Z wszystkich saní twarze zwrócone były do wsi, Wiedzieliśmy w słońcu jak na dłoni, Tam przeżyliśmy sześć głodnych, bardzo pracowitych, ciepłych lat. A jednak śgnaliśmy ją ze łzami. Tu przyjechaliśmy jako dzieci, miałam wtedy skończonych tylko 12 lat. Mama miała 38 lat. Wracała jako stara kobieta, bardzo sterana życiem. Ojcu nieco wyrównała się z więziennych fałd twarz, Bracia wysocy, szczupli kawalerowie. Uciekła bezpowrotnie nam młodość przedwojenna beztroska.

Zaczęła zacierać się panorama naszej wsi. Wjeżdżaliśmy w las, podjeżdżaliśmy do góry Płakun leżąca w połowie drogi. do Imontaw. Z góry rysowały się zarysy wsi Imontaw. Tam był punkt zbiorny Aryk-Bałyckiej Polonii. Wjeżdżając do wsi woźnica skierował sanie do budynku szkoły. Tam już byli rozłokowani Polacy z innych wsi. Ułożyliśmy się

się na podłodze, przy nas pani Słizeska i rodzina Andrusiewiczów. 99
Rodzice z panią Słizeską rozważali jak zrobić z listem o śmierci
Rysia. Nie wiadomo, mogą nas rozłączyć z grupy. W końcu ustalili, że prze-
każe się całość Jance. Zaklinając ją żeby teraz nie powiedziała o tym
matce. Rozmowę z Janką na dworze przeprowadził Tatuś. Przysięgła, że nie
nie powie aż w Kraju. Płakała ale bardzo mężnie zniosła ten ból. Wiedzia-
ła, że matka nie przeżyłaby tego.

Mieliśmy wyruszyć do kokczetwau następnego rana. Czekaliśmy
na samochody. Pogoda była wietrzna, ale słoneczna. Mimo to można było
oczekiwać huraganu. W następnym dniu rozszała się burza. Trzeba było
przeczekać. Nawiązaliśmy nowe znajomości. Poznaliśmy Mamę krajanę panią
Demczuk z dziećmi synem Stasiem i córeczką Krysią, która jadąc na zesłan-
ie miała kilka miesięcy. Mama karmiła ją przez pood dwa lata własną
piersią bo nie było za co kupić mleka. Brat jej był prawie rówieśnikiem
moich braci. Polubiliśmy się od pierwszego wejrzenia. Biegałam do Irki
i Ziułki. Pani Besser miała kłopoty bo nie wydali jej karty repatriacyj-
nej z powodu kary męża. Przyszedł nowy i jeszcze nowy dzień bezskutecz-
nego wyczekiwania na wyjazd.

Janka bardzo ciężko zachorowała, miała silną temperaturę.
W malignie wołała: Mamie nie wierz im Rysiek nie żyje. Mamie Rysiek zabity
Potym przyszła poprawa, zaraz powiedzieliśmy jej co mówiła. Powiedziała
Mamie, że raz jej się wydawało, że brat zabity, raz że są razem w Pińsku,
Pani Andrusiewicz całe szczęście przyjęła to za wiarygodne- gorączka.

Nadeszła wielkanoc. Ja po polepszeniu się zdrowia Janki
więcej czasu spędzałam u Ziułki. Tu Polacy do ostatniej chwili zostali
w swoich mieszkaniach. Dyngus był potworny. Chłopcy umocowali balie z wodą
nad drzwiami wejściowymi do szkoły, Otwierając drzwi balia przechyła się
i oblewała wchodzące osoby. Siedziałam więc u pani Besser do wieczora.

Żyliśmy w ogromnym napięciu, Krążyć zaczęły plotki. Napewn-
coś się zmieniło. Że nas zawrócą. To przerażało. Zanieść nie milkła. Doszło
też do nieprzyjemnego incydentu. Weszli do nas dwaj pijani zdemobilizowani
żołnierze. Ostro zapytali co to za zgromadzenie. Najbardziej nie podobał

wysoki chłopiec Heni Cylwik. Zaczeli go zaczepić aroganckimi słownikami wreszcie zaczęli Henia bić. Nie pomogły perswazje pani Sliżewskiej, że oczekujemy na wyjazd do Polaki. Wreszcie Henio wyskoczył oknem, wsiadł na ich konia i pojechał do sielsowietu. Przyjechał z przewodniczącym Teraz rozgorzała między przewodniczącym a awanturnikami. Doszło do poważnych Rękoczynów. Jeden z nich wrzeszczał dziś jeszcze wyrznię wyszystkich Polaków. Wyciągnął coś w kształcie zbliżonego do broni. Drugi awanturnik chcąc odebrać mu faktycznie broń, szamotając się doszło do wystrzału ale nikomu nic się nie stało. Przewodniczący zapewniał, że nic nam już nie grozi, że już jutro ten osobnik będzie sądzony. Okazało się, że ten z bronią był oficerem na urlopie. Nikt z nas nie wierzył, że będzie karany.

W takim oczekiwaniu na lepszy dzień upłynęło jedenaście dni. Cały czas burza śnieżna szalała. Syberia nie chciała nas tak łatwo wypuścić. Dopiero trzynastego dnia zaczęło cichnąć. Zarek nastąpiła szalona odwilż. Nasza kolumna samochodów ma jechać przez zamrożnięte jezioro. Woda ze wszystkich stron pęczyła na jezioro. Łód pokryty już był wodą na 20cm. Rozpacz narastała, czy przejedziemy szczęśliwie ogromne jezioro, Czy jeszcze na nas czeka transport kolejowy. Nadeszła rocznica wyzwolenia nas na sżykę. 13 kwietnia 1946r Burza ustała a po nas i tak nikt nie prtyjeżdżał. Poinformowano nas, że drogi bardzo rozmokły i 40 samochodów nie jest w stanie przejechać 80 km. Musi podeschnąć. Młodzież tworzyła grupki mimo zwłoki weseliła się. Ale już w tym wieku co ja i nasi rodzice każdy był zgnębiony.

Zawiadomiono nas żeby wydelegować ludzi, i przyjechać do Aryk-Bałyku po "pajok" Pojechał Henio Cylwik. Już z tamąd zadzwonił Imontaw miał telefon. Przygotować się na jutro. Nie dowierzaliśmy. Rzeka pod wsią Zorza zerwała most. Na jeziorze nad lodem pół metra wody. Faktycznie rano przyszły samochody. Było to 28 kwietnia 1946r

Nie daleko odjechalismy na małej rzeczce też zerwany był most. Trzeba było bagaż zładować z samochodu i przenosić ręcznie, na ułożonych belkach. Samochody które nas przywiezły tutaj odjechały. Kierowcy dali znać o sytuacji. Dopiero wieczorem przyszły na tamten brzeg samochody z Kokczawu.

tawu. Kolumna samochodów ponownie została załadowana naszymi bagażami. Jechaliśmy bardzo wolno w ogromnych kolejinach błota. Potym przez jezioro po lodzie wysoko zalanym wodą. Kirgizi wypalali w tym czasie trawę na stepach, unosiły się czerwone żuny, widok niepowtarzalny. Późną nocą wjechaliśmy do Kokczetawu. Podwiezione nas do nieczynnej cerkwi. Była już przepełniona Polakami. Dostaliśmy miejsce w przedsionku. Pani Mura była niezdrowa. Obżalili ją wazy nawet po wierzchnim ubraniu. W cerkwi umieszczonych już było 364 osoby. Wydano nam prowianty, trochę odzieży. Tatuś dostał płaszcz wojskowy. Była w tym kiełbasa której sześć lat nie widzieliśmy, sucha ssało się ją jak najwspanialszy cukierek. Był sólty ser. marmelada, cukier i mąka. Co za przysmaki.

Już pięć dni byliśmy w tej nowej siedzibie, było dużo osób chorych, bardzo bardzo osłabionych. Zbliżył się 3 Maj. Przygotowywano piosenki, deklamacje. Podczas uroczystości Tatuś zagrał na cytrze Jeszcze Polska nie zginęła wybuch natychmiast płacz. Grał też inne utwory. Trzy siostry Przybylskie pięknie śpiewały. Śpiewałam i ja z Marysią Połowiec. Uroczystość bardzo podniosła. Był to dzień bardzo przyjemny. Po południu ktoś zawołał czy jest tu pani Dzikowska Wanda, przesłana jest do wyjścia. Doręczono mi małą paczuszkę ze znaczkami zagranicznymi. Jak znaleziono mnie tu w Kokczetawie nie jest wiadomo. Paczuszka była od Loni. W niej czarne sznurowane buciki. Adres na paczce był Łobanowo. Napisałam zaraz na zwrotny adres. Paczka wysłana była bardzo, bardzo dawno, dziś nie pamiętam przed iloma miesiącami.

Byliśmy bardzo spragnieni gorącego posiłku. Postanowiliśmy z Manusią przejść się do pobliskich domów, prosić o zezwolenie na ugotowanie zupy. W pierwszym domu był tylko staruszek. Zapytaliśmy. Zezwolił, powiedział tak długo jak tu będziecie gotujecie. Wzięliśmy też z sobą parę Demczuk. Staruszek zainteresował się dlaczego Mama ma zabandażowaną nogę. Mama opowiedziała, kazał rozwiązać nogę. Powiedział wyleczę cię. Był Grekiem. Jutro jak przyjdiesz ja zabandażuję ci nogę. Na ranę przyłożył lnianą szmatkę salaną czymś jak gdyby pszczelim woskiem. Powiedział do Mamy co dziennie rano zmyj szmatkę i przyłóż. Nim przyjechaliśmy do pol-

ski rana zagoiła się.

W nyczekiwaniu na powrót do Ojczyzny w cerkwi zmarł p. Beratyn w kilka dni po nim zmarła p. Wiktorowicz. Panią Besser z córką nie puszczano. Pani Witkowska z Tatusiem chodzili pukać do różnych ważnych drzwi. Tłumaczono, mąż aresztowany. Załatwianie tych spraw było bardzo kosztowne. Dzin przed ruszeniem naszego transportu udało się, Otrzymały karty repatriacyjne.

Depiero 17 maja 1946r wieczorem zaczęły nas przewozić samochody do podstawionych wagonów. Stał tam duży transport, w których już byli Polacy. 18 maja o godz. 6,50 ruszyliśmy do Ojczyzny. Było to już 58 dni od opuszczenia Łobanowa. Gdy transport ruszył z wszystkich wagonów popływały religijne pieśni. Długo nie milkły głośne modlitwy.

Jakże inny był nastrój jadących. Drzwi wagonu otwarte, W wagonach czyściej chociaż urządzone były tak samo. Transport często przystawał. Wtedy rozpalało się ogień pod trzynózką i gotowało posiłki. Na postojach przechodziliśmy do znajomych w innych wagonach. Do naszego wagonu bardzo dużo przychodziło osób. Na koncerty na cytrze, na wspólne śpiewy.

24 maja stał się tragiczny wypadek. Jak zwykle z Marysią Połowicz gotowałyśmy na terach. Z wagonu ktoś głośno wołał. Marysiu mama na krwoto. Marysia pobiegła ja za nią. Zapomniałyśmy, że jest z nami trzy letnia siostrzyczka Marysi, która urodziła się w Łobanowie po powrocie ojca z Łagru. W tym czasie jechała na drugim torze lokomotywa, rozpędzona, pędem powietrza porwała dziewczynki sukienkę, pociągnęła Walę. Dziecko zaczęło wymachiwać rączkami. Zauważył to stojący w oddali Józio z chłopcami, pobiegli. Dziewczynka miała odciętą u barku prawą rączkę, w lewej odcięte trzy palce. W tej tragicznej sytuacji matki i siostry opuścili transport. Pierwszej pomocy udzieliła im p. Besser jadąca w wagonie sanitarnym.

W Penzie zabrano nas do kaźni. Tu stacja przepełniona była transportami, zdemobilizowanych żołnierzy, i powracających do Polski. Transporty zdemontowanych fabryk niemieckich itp. Przeważali ludzie młodzi. Transport jeden stał na przeciwko naszego. prowadziliśmy rozmowy. Ludzie ci byli bardzo wycieńczeni, nie było ludzi starych z pewnością

pomierali. Ci młodzi byli tak pełni wiary w lepszą przyszłość! 03

Przejeżdżaliśmy też przez stację kolejową KATYŃ. Wiedzieliśmy już o bestialskim mordzie. Młodzi chłopcy zaraz po zatrzymaniu się transportu pobiegli do wiedzy się gdzie są groby. Nikt z zatrzymanych ludzi nie odpowiadał, dosłownie uciekali. Na twarzach widać było przestrawę. Zerwałam tam gałązkę świerkową z przyległego do stacji lasu. Mam ją do dziś, Co prawda już bez igliwia.

Przed Smoleńskiem transport nasz nie miał wjazdu na stację. Zatrzymał się z jednej strony torów zobaczyliśmy szeregi drewnianych baraków. To całe zabudowanie opasane było wysoko kolczastym drutem. Za tym parkanem byli mężczyźni w jednakowych nie rosyjskich mundurach wojskowych/ W latach 1939-1940/ nie widziałem żołnierzy niemieckich/ Szli w naszym kierunku o kulach, pošli na kolonach, zatrzymywali się przed ogrodzeniem. Zbliżając się wołali brzo, chleb, Byli to jeńcy niemieccy. Wypędzani, obandaszowani, resztki ludzkie. Nie znaliśmy bestialstwa hitlerowskich oprawców. Z każdego wagonu zaczęli Polacy wyrzucać całe bochenki chleba. Mieliśmy go teraz w dużym nadmiarze. Każdego dnia otrzymywaliśmy świeży chleb. Jeńcy widząc chłopców w czerwonych spodniach z poszew, wyrzucali wojskowe spodnie za płot. Z pewnością już nie z jednym Polskim transportem dokonowali takiej wymiany. Czerwony igielit dominował w męskich spodniach u Polaków kupowali to jeszcze w swych wsioch od zembilizowanych żołnierzy, Przywozili to jako trofea wojenne. Wtedy właśnie widziałam tych którzy zniszczyli Europę, pokonanych, łobzących kawałka chleba.

2 czerwca wjechaliśmy do Brześcia. To była już nowa graniczna stacja. Wiedzieliśmy, że jutro już będziemy na Polskiej ziemi. Z transportu było widać niewielki kościółek. Większość zaraz opuściła transport, pozostawiając w wagonach dyżurnych. Poszliśmy do kościoła. To naprawdę nie da się zobrazować, co działo się z nami w tym kościele. Potężny płacz, jęk wyrwał się z wszystkich Polskich piersi. Wprost obłędne wołania. Pozwolicieś nam Boże wrócić, „uczyni jeszcze ten cud bym odnalazła matę czy ojca. Ja z Mamą miałam tak bardzo za co dziękować

wac Bogu. wracaliśmy wszyscy razem. Nieokaleczeni, sprawni, i tak bezgranicznie szczęśliwi. wracaliśmy do transportu łaczej, jakbyśmy już odjęli z siebie cały ciężar niedoli.

4 czerwca transport podjechał do granicy, zatrzymał się. Staliśmy długo. Wreszcie pociąg ruszył z powrotem w stronę stacji. Rozpacz. "Aj-rótniejsze domysły. Było inaczej kierownik transportu przekonany, że na granicy zostaną nam wydane ponownie karty repatriacyjne zabrane na okres drogi. Leżały jednak w biurze straży granicznej na dworcu w Brześciu. Staliśmy znów kilka godzin, ale to oczekiwanie sprawiło nam radość. Na przeciwnym torze stał transport maszyn. Koło wagonu przechadzała się wojskowa straż. W pewnej chwili żołnierz krzyknął Józik, tak na brata wożano w Łobanowie. Nikomu nie przyszło na myśl, że to może wołać ktoś z Łobanowa. Był to rosjanin przyjaciel, myśliwy brata Lonia Swarcow. Wielka radość. Zasypywał nas pytaniami o swoich bliskich. Zapytał też czy jedzie Marysia Połowiec, sympatyzowali z sobą. Opowiedzieliśmy ich tragedię. Zapytywał czy nie znamy adresu Marysi z przed 1940r. Podaliśmy Marysia często opowiadała o swojej wai. Trzeba było rozstać się z Skwarcowym, transport ruszał. Po kilku godzinach stanęliśmy w Terespolu.

Terespol pierwsze Polskie miasto. Kto żył wychodził z wagonu wszyscy po stąpieniu na Polską ziemię klękali i całowali ziemię. Znów modlitwy i łzy. Pódcodziło do nas dużo ludzi, pytali o bliskich. Ja pamiętam o co się pierwsze zapytałam, ile kosztuje chleb, Nie adawał sobie sprawy, z innej wartości sztówki. Powiedziana cena, spowodowała bolesny skurcz serca. Znowu będziemy głodować.

6 czerwca byliśmy w Poznaniu. Tu zobaczyłam pięknie ubrane kobiety. W cudownych sukniach, w lisach. Panie te podchodziły proponując nam zajęcie służących. Po tym pytaniu nie odpowiedziałam, odeszłam, zaliczami. Przed wojną myśmy mieli służącą, a dziś mnie tą pracę proponują. Tu dużo opuściło Polaków nasz transport. Myśmy jechali dalej do Wałcz. tam kończył bieg nasz transport. Dojechaliśmy do Wałcza 9 czerwca 194

Zamieszkaliśmy w trzech piętrowym domu. Państwowy Urząd

Repatriacyjny. W budynku brakowało szyb. Pokoje były bez drzwi. Brak też było całych okien. W naszym pokoju zamieszkało 14 osób. W tym panie Sliżewska i Mura. Pani Noiszewska była bardzo chora. Zachowywała się bardzo dziwnie. Była bardzo ciasno. Pani Besser weszła w skład komisji dzielącej zapomogi, odzież, sprzęt domowy, pościel itp. Były to rzeczy polenienieckie. Pierwszą pomocą na kartę repatriacyjną otrzymał Hubert. Z pewnością zrzekł się czegoś z ubrania dla siebie i poprosił o sukienkę dla mnie. Podał mi ją rozradowany. Sam otrzymał spodnie. Jego spodnie bez przesady miały ponad 500 zł. Łata na łacie, a na tym jeszcze jedna łata. Łaty z różnych materiałów o różnych kolorach. Otrzymał też wannę i rondle. Potem otrzymałem też ja. Wannę, pierzynę i garnki. Józio, kocioł, pierzynę i poduszkę. Rodzice podobnie. Z chwilą wejścia do PUR zaraz Kamusia napisała list do Tczewa do naszej Babci. Odpowiedz przyszła szybko. Babcia pisała żebyśmy zaraz przyjechali do Tczewa. Uprosiłam Rodziców żeby pomogli mi pojechać do Tczewa. Zezwolili, jechałam w sukience, którą obdarował mnie Hubert. Była kretonowa zółta w kwiatki, z kieszeniami i pasekiem.

W tym samym czasie Tatuś wyjeżdżał do Szczecina załatwiać pracę. Na dworzec poszliśmy razem. Wyjechałam 17,30 o godz. 3.10 pociąg wjechał na dworzec w Tczewie. Wskoczyłam z wagonu, nikt nie wysiadał. Pociąg ruszył. Nie miałam czasu wskoczyć więc usiadłam na stopniu. Pociąg jechał między światłami, przekładniami, a ja wyśledałam tylko, żeby nie odcisnęło mi gdzieś nogi. Dworzec przez działania wojenne był spalony stały tylko zewnętrzne mury. Wcisnęłam bardzo nogi by zwrotnica nie skaleczyła mnie. Pociąg teraz stał przy małym domkiem, Niczym nie przypominał dworcu. Ludzie zaczęli wysiadać. Wyszłam na ulicę. Ulice puste, chciałam jak najszybciej znaleźć się przy dziadkach. Ale bałam się o tej porze iść sama. Chwilę przeczekałam, ale silniejąc była chęć by znaleźć się już przy celu. Przechodziłam koło Fary. Zatrzymałam się na modlitwę, przed kościołem. Spieszyłam się. Kot przeleciał mi drogę, przystanęłam, wróty coś złego. Weszłam w ulicę Czyżykowską. Była nienaruszona. Podeszłam do domu gdzie mieszkali Dziadkowie przed wojną. Na drzwiach była inna wizytówka. Odeszłam czekałam na przechodniów. Podes-

szkam do balustrady przy skarpie spadającej do Wisły. Tysiące tak wspa-
niałych wspomnień przelatywało błyskawicą. Czy były mi się strumieniem.
Długo stałam ze wspomnieniami. Przed pobliskim domem wyszła kobieta, zaczęła
zamiatać. Podeszłam, zapytała, Czy tu już nie mieszka pani Kopytkowska?
Kobieta przez chwilę przypatrywała się mojej obrzękłej od łez twarzy i
powiedziała. Niemieszkali Niemcy ich wysiedlili mieszkają w tym małym do-
ku. Nie miałam odwagi zapukać do okna. Zapukałam lekko w okiennicę. Po
chwilę rozchyliły się, Babcia przypatrując się mnie zapytała: pani do
nas. Pani chyba się pomyliła. Ja na to, czy Babcia mnie nie poznaje?
Babcia krzyknęła Kuba, to napewno Wandzia. Pospieszenie otwierała drzwi
powitanie i łez nie było końca.

Kiedy rozpoczęły się już spokojniejsze rozmowy, zobaczyłam
niema w tym pokoju cudownego gotyckiego ołtarzyka, który tak pięknie
zdebił sypialnię. Umeblowanie bardzo skromne, tylko to co niezbędne. Bab-
cia zaproprowadzała, choć dziecko zenną do kuchni, będziemy tam sobie
dalej opowiadać. Do kuchni wchodziła się z sieni. Kuchnia malusieńka z
cegła ułożona podłoga. Pytam dlaczego Babcia się tutaj przeprowadziła
Niemcy nas wyrzucili dali ten pokój i tą kuchnię. Tu już zostaliśmy
po wojnie. Po śniadaniu poszliśmy do cioci Mami. Wójeńca nie było za-
wierucha wojenna rzuciła do de Włoch. Opowiadaliśmy sobie na przemian.
Opowiadali o tragizmie wojny, której my na dalekiej Syberii nie znali-
śmy, o bestialstwie hitlerowców, o tym jak żołnierze sowieccy gwałcili
rabowali itp. Było to Bute Ciake, wszyscy chcieli iść na procesję, Cioci
zaczęła szukać w co mnie ubrać na tak wielką uroczystość. Kiedy już
mnie ubrała powiedziała zobacz w lustrze, jaka jesteś ładna dziewczyna.
Popatrzałam przed lustrem stała inna dziewczyna, nie Wala obdarta z
Łobanowa. Po procesji zaraz zaprosiła nas ciocia Kasia. Tu musiałam
znów opowiadać o naszej wojennej niedoli. Cały czas wszyscyśmy płakali.
Ciocia Kasia miała dzieci w moim wieku chłopców i dziewczynki. Przyni-
sła walizkę i zaczęła pakować, prócz odzieży też bieliznę pościelową.
Do domu Babci już wracałam bogata.

Następnego dnia poszłam odwiedzić państwa Spierewków, p

jać Rodziców. Nie zastałem pana Wojtkę tylko brata i siostry. Radość była przeogromna. Opowiadania. Pan Piotr zaraz chciał zenną pojechać do pana Wojtkę który teraz był leśniczym, odmówił, chciał być jak najprędzej u Rodziców z moimi skarbami, informacją o przeżyciach dziadków.

Wyjechałem z Tczewa po pięciu dniach z dwoma walizkami darów. Wszyscy byli bardzo ucieszeni, Te sukienki, czy bluzki które były przeznaczone dla Mamy nie chciała zatrzymać mówiła Tobie dziecko te bardziej potrzebne, mnie strczy to co już mam. Dla niej najważniejsze było jak przetrwali jej najbliżsi. Jeszcze w Tczewie wszyscy zwracający się do mnie mówili do mnie proszę pani, to też robiło swego rodzaju wrażenie. Napisałem też do państwa Ketylkiewiczów że odwiedzimy ich będąc w Tczewie.

30 czerwca 1946 roku pierwszy raz poszedłem do urny wyborczej. Poprzedzały ten fakt wyklejone niemal na każdym rogu afisze, mówiące o referendum. Miało się głosować 3 x tak. Były to następujące pytania

1/Czy chcesz zniesienia Senatu?

2/Czy chcesz upaństwowienia ziemi i większych przedsiębiorstw

3/Czy granicy z dnia . . . ma zostać przy Polsce.

W Wałcu dzień ten przeszedł bez zamieszek, chociaż na ulicy nie milkły śpiewy rewolucyjnych pieśni. Stracił obywatelską pilnowała porządku.

Tatule po powrocie z Szczecina dostał trzy miejscowości do wyboru pracy. Białogard, Stargard i Pyrzyce z siedzibą w Lipianach. Wybrał Lipiany tłumaczył to tym, że jesteśmy tak wyniszczeni, że w większym mieście będzie nam trudniej dlatego wybrał Lipiany.

Wyjazd do Lipian ustalony został na 16 lipca. Ale jeszcze 14-go wstrząsnął mną mrozący krew w żyłach widok. Wysiedlaną w tym dniu z Wałcza Niemców. Przed moimi oczami ukazał się dzień tragicznego wywozu na zesłanie. Było mi ich naprawdę żal, że byli tylko przesiedleni na teren swojej Ojczyzny. Może i dla tego wzbudzało to litość, że w ogromnej większości były to kobiety zwłaszcza sta-

88

re z dziećmi. Tej nocy nie mogłam spać z wrażenia, przechodziły na myśl różne refleksje. Z opowiadań u Babci wiedziałam dokładnie o obozach koncentracyjnych, śmierceniach cyklonem, krematoriach, nieludzkich pracach w obozach. Porównywałam oczywiście się różniły obozy, łagry i zesłania. Tu obozowy głód, nadludzka praca, cyklon, krematorium. Tam niewinne wyroki polityczne sięgające i 25 lat, głodowe łagry, nadludzka praca, zesłania, tajgi, kopalnie, epidemie, wazy, pluskwy i te sięgające 65^o mrozy zastępujące cyklon i krematorium.

18 lipca 1946 roku przyjechaliśmy na nasze powojenne osiedlenie do Lipian. Kończąc ten rozdział zapewniam czytających moich najbliższych, że przywołam z pamięci i notatek tylko fakty. Niczem nie rozbarwione. Chciałabym bardzo, żebyście Wy i wasze dzieci poznali głębiej dzieje rodziny Dzikowskich, dobre i złe dni. Opóście nigdy nie zaznali tak bardzo dotkliwych represji, deportacji. Abyście umieli unikać swoją Ojczyznę tak jak unikowali ją moi Rodzice bracia i ja.

Nasz jeden z nielicznych szczęśliwych powrotów z pewnością zawdzięcza Tym, kto w Niebie kieruje losem ludzi. W modlitwach swych co dzień do końca dni moich postanowiłam zanosić modły za tych, którym nie dane było wrócić, spoczywającym w szumie głębokiej tajgi, szumiących kowyżem stepach i gór.

Wania Dzikowska

